Wesołych Świąt — Dosiego Roku!

odgłosu

Nr 51–52 (413–414)
25–31. XII. 1966
16 stron
Cena 2 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

Dziś w numerze:

ILU NAS?
Nestor zawsze młody
RADOŚĆ ŻYCIA
Parada felietonistów
SZYNKA ŚWIĄTECZNA
Zezem na kuchnię
ŁOBODA O FESTIWALU
Kompozytor Czarowny
FILMY ROKU 1966
Hitchcock o pistoletach
OSTATNI PUSTELNIK
Akty na całą ścianę
LEWYM OKIEM
Poświąteczna rzeczywistość

Czas zgody i nadziei

Każde święta, a święta grudniowe w szczególności, skłaniają raczej do wspomnień, do rozstrząsania tego co było, niż do zapuszczania się w nieznaną, trudną do przewidzenia przyszłość. Święta, przypadające na schyłek roku, w naturalny sposób nakazują spojrzeć za siebie, obrócić jeszcze raz oczy na czas miniony, na zdarzenia i przeżycia, które zajęły jakiś skrawek naszej indywidualnej i zbiorowej pamięci. Są w tej bliskiej przecież, jakby na odległość ręki — przeszłości, fakty wielkie i doniosłe, mające znaczenie dla całego społeczeństwa, i są również nasze ludzkie drobne sprawy, wypełniające nam nasz dzień powszedni. Ale i jedne i drugie przeplatają się ze sobą, absorbują naszą świadomość, stają się źródłem wzruszeń i refleksji. Święta grudniowe usposabiają do zadumy, bo są to święta łączenia się ludzi. Ludowy obyczaj nakazuje, by żona z mężem byli w tych dniach razem, a wraz z nimi ich dzieci, by krewni pamiętali o sobie, by przyjaciele i znajomi potwierdzali uczucia przyjaźni i zażyłej znajomości. Ludzie intensywniej, niż zwykle, odczuwają potrzebę kontaktów, potrzebę wzajemnej pamięci i uwagi. Na ten czas nie planuje się wyjazdów, które by nas rozłączyły z bliskimi, zawiesza się na kółku sprawy, które mogłyby zamącić to święto pojednania i radości. Na ten czas ludzie w większym stopniu żyją dla drugich, podczas gdy zazwyczaj — żyją więcej dla siebie. Są to więc dni, kiedy wyzbywamy się egoizmu i sobkostwa, kiedy biorą górę uczucia altruistyczne i żywiej odczuwamy bicie serca. Według starego obrzędu należy przy stole wigilijnym przygotować miejsce dla nieobecnych, dla tych, którzy są w drodze, bo nie mogli na czas przybyć do domu lub nie pozwalają im na to ważne obowiązki służbowe. Dla tych, co czuwają w hutach i elektrowniach, dla tych, co na morzu, dla tych wreszcie, co odeszli od nas na zawsze. I chociaż wiemy, że nie zjawią się wśród nas, jednoczymy się z nimi w duchu, przywołujemy ich mocą naszej wyobraźni, ucztujemy i cieszymy się wraz z nimi.

Rok 1966 dobiega końca. Jeszcze tylko kilka dni dzieli nas od tej cezury, odgradzającej stary rok od nowego. Przybywa nam z tym rokiem lat, ale i przybywa doświadczeń. Jesteśmy zadowoleni, że w dużej części świata był to rok pokoju, ale nęka nas świadomość, że są na świecie ogniska wojny i nienawiści. Nie możemy powiedzieć, że był to rok wolny od trosk. Ale też i nie da się zaprzeczyć, że przeżyliśmy go tu, w tym kraju, w warunkach usposabiających do dobrej nadziei. W roku 1966 upłynęło pełne tysiąclecie Państwa Polskiego, od 1 stycznia 1967 wkraczamy w drugie tysiąclecie — bogaci w doświadczenia i emocje, świadomi dokonań i celów, które przed nami stoją. Kongres Kultury Polskiej unaocznił nam, jak ważną i doniosłą rolę w naszych dziejach pełniły nauka, sztuka i literatura. Ale i coś ponadto: kultura staje się dobrem powszechnym, dobrem wspólnym całego społeczeństwa, kultura łączy nas, zbliża ku sobie, zaciera nierówności, ułatwia porozumienie. Kultura spaja społeczeństwa i zapobiega dzieleniu narodów. Kultura jest siłą, kultura jest fascynacja i potęga. Tysiąc lat dziejów Polski i jej kultury dowodzi olbrzymiej energii narodowej, niespożytych sił i zasobów duchowych.

Tak więc wielkie sprawy ogólne i nasze drobne sprawy codzienne będą towarzyszyć nam w te grudniowe święta. Będą zaprzątać nasze myśli i naszą uwagę, splatać się w nierozerwalny rytm życia i nadziei.

Pogodnych Świąt i pomyślnego Nowego Roku!

REDAKCJA

ze ŚWIATA

Bez przesady można powiedzieć, że współczesny człowiek — to homo politicus. Wynika to nie tylko z większej przeciętnie wiedzy, a więc i rozleglejszych zainteresowań, lecz także — a skłonny jestem twierdzić: przede wszystkim — z faktu, że świat się skurczył. Nowoczesna technika militarna, doskonałe środki łączności, a nade wszystko skomplikowanie zagadnień międzynarodowych powoduje, że to, co rozgrywa się na odległym kontynencie, żywo nas interesuje i dotyczy. Śledzimy więc pilnie bieg wydarzeń, komentujemy je, politykujemy...

Ta refleksja potrzebna jest niżej podpisanemu, by nie rozczarować Czytelnika, że w noworocznym przeglądzie wydarzeń ustosunkowuje się tylko do niektórych i w pełni nie bilansuje roku. Komentator jest bowiem zawsze w kłopocie, jaką wybrać miarę oceny rozwoju wydarzeń, jakimi posłużyć się kryteriami? Najlepiej byłoby odpowiedzieć na pytanie: zbliżyliśmy się, czy też oddaliliśmy od osiągnięcia najwyższego dobra — powszechnego pokoju? Niełatwo jest jednak udzielić na nie odpowiedzi w roku, który na międzynarodowej scenie przyniósł złożone wydarzenia: z jednej strony korzystne dla narodów, optymistyczne, z drugiej — wzmagające niepokój o losy świata.

Na całym roku zaciążyła wojna wietnamska. Wbrew naszym nadziejom nie zarysował się żaden proces deeskalacyjny. Odwrotnie — liczba interwencyjnych wojsk wzrosła, a niosące śmierć i zniszczenie amerykańskie samoloty nawiedzają mieszkalne dzielnice Hanoi. Wojna w Wietnamie stała się wojną amerykańską.

Ale właśnie to stwierdzenie pozwala wysnuć szereg wniosków, dla agresorów wcale nieoptymistycznych. Mimo bowiem zastosowania wobec małego narodu wietnamskiego nowoczesnej techniki militarnej, jaką dysponuje supermocarstwo kapitalistyczne — żaden z jego celów nie został osiągnięty. Ani nie udało się złamać narodu wietnamskiego, ani rzucić postrach na ruchy narodowowyzwoleńcze innych krajów. Zysk ze wzrostu zaangażowania żaden, straty coraz większe.

Na liście tych ostatnich trzeba zapisać pogłębiającą się izolację polityki Stanów Zjednoczonych wśród sojuszników, nieprzychylność opinii publicznej świata i narastający sprzeciw w samej Ameryce. Nie są to czynniki, które wytrawny polityk może na dłuższą metę lekceważyć.

Coraz więcej poważnych komentatorów mówi więc wręcz, że Johnsona „urządzałoby uregulowanie konfliktu". Nigdy nie przekonał on swoich sojuszników o celowości jego utrzymywania, teraz z powiększającą się częstotliwością spotyka się z krytyką. Zdołał — być może — wmówić znacznej części Amerykanów, że tam — w odległym Wietnamie broni się „amerykańskiej demokracji", teraz coraz śmielej wypowiadają oni swoje wątpliwości. Jakże więc w takiej sytuacji liczyć na poparcie wyborców w zbliżających się wyborach prezydenckich?

W amerykańskiej analizie zagadnienia wietnamskiego z pewnością poważną rolę odgrywają rozbieżności w międzynarodowym ruchu robotniczym. Odmowa Chińskiej Republiki Ludowej skoordynowania pomocy ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi jest zachętą dla waszyngtońskich kół do kontynuowania wojny. W antyradzieckiej polityce kierownictwa KPCh upatrują szansy dla siebie.

Trudno zaprzeczać, że ta okoliczność jest im sprzyjająca. Czy jednak nie przeceniają tego atutu? Przecież mimo wszelkich utrudnień pomoc krajów socjalistycznych dla walczącego Wietnamu jest skuteczna, pozwala jemu stawiać czoło agresorom, z każdym dniem powiększa ich straty w ludziach i sprzęcie.

Pomocy będziemy udzielać i dalej — i agresor nie może liczyć na żadne militarne rozstrzygnięcie. Pozostają więc drogi politycznego uregulowania konfliktu. Wejść jednak na nie można dopiero wówczas, gdy USA poniechają pirackich rajdów na terytorium Demokratycznej Republiki Wietnamu i okażą dobrą wolę realistycznego rozwiązania problemu.

Nie chciałbym stawiać tu żadnych prognoz, lecz po prostu wyrazić wiarę, że zdecydowanie narodu wietnamskiego, konsekwentne stanowisko ZSRR i większości krajów socjalistycznych wobec konfliktu, nacisk opinii publicznej i sytuacja polityki amerykańskiej, o czym powyżej — zmuszą USA do wyboru jedynie możliwej drogi rozstrzygnięcia kwestii — poszukiwania rozwiązań politycznych.

W kierunku przeciwnym niż sytuacja na kontynencie południowo-azjatyckim rozwinęły się wydarzenia w Europie.

Mijający rok pogłębił proces rozpadu, zawsze wątpliwej spoistości, bloku atlantyckiego. Cele amerykańskiej polityki, które legły u podstaw NATO, okazały się anachronizmem. Z systemu atlantyckiej struktury militarnej wypadła Francja, osłabł dyktat USA, a ich pozycja polityczna i ekonomiczna w zachodniej Europie wyraźnie się zmniejszyła. Mocniej w niektórych krajach kapitalistycznych zarysowały się tendencje do ożywienia polityki wschodniej, częściej w dyplomatycznych rozmowach powraca się do idei bezpieczeństwa europejskiego.

Wydarzeniami w tej dziedzinie niezwykle ważnymi było zapoczątkowanie regularnych, bezpośrednich kontaktów między Związkiem Radzieckim i Francją; pojęcie na wielu płaszczyznach współdziałania, które może być przykładem dla innych krajów.

Trwający wyścig zbrojeń, który w dobie nuklearnej stwarza powszechne zagrożenie, niechęć do amerykańskiej dominacji, obawa przed wciągnięciem krajów zachodniej Europy do awanturniczych wyczynów Stanów Zjednoczonych, z którymi Europa nie utożsamia swoich interesów — wszystko to w 1966 roku wyraźniej niż kiedykolwiek wskazało na potrzebę stopniowych przygotowań do europejskiego systemu bezpieczeństwa.

Lipcowa narada Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego stwierdziła wyraźnie, że Europa bardziej niż inny kontynent mogłaby stać się przykładem pokojowego współistnienia. W deklaracji tego komitetu określono drogi, które mogłyby do tego prowadzić.

Idea zakiełkowała w wielu punktach zachodniej Europy. Nie mogły na nią pozostać obojętne nawet Stany Zjednoczone, które oczywiście bardziej kierując się chęcią utrzymania zacisza w strefie NATO niż potrzebami Europy, podjęły temat.

Powiew, o którym mowa przyniósł prawdziwą sensację w Niemczech zachodnich — obalenie rządu Erharda i powołanie gabinetu „wielkiej koalicji" — CDU/CSU i SPD. Deklaracja rządowa nowego kanclerza nie zapowiada wprawdzie nowej politycznej treści i jak przysłowiowe rafy omija najistotniejsze problemy europejskie, a obsadzenie dwóch głównych teki w rządzie przez hitlerowca i supernacjonalistę nie rokuje nic dobrego, jest przecież faktem, że [illegible] został monopol partii chadeckiej, która nastawiła ster NRF na zbrojenia i odwet.

Mijający rok przyniósł z NRF także inne wieści — ujawnił to, przed czym stale przestrzegamy: wzrost sił neohitlerowców, skupionych w NPD. Zdobycie przez tę partię 22 mandatów w dwóch parlamentach krajowych niepokoi przede wszystkim dlatego, że świadczy o korzystnym klimacie dla tych sił w Niemczech zachodnich.

Również z tego powodu szczególnego znaczenia nabiera sprawa europejskiego bezpieczeństwa, która — miejmy nadzieję — w nowym roku dojrzewać będzie do jej pełniejszego podjęcia.

Nad światem nieustannie unosi się groźba nuklearnego niebezpieczeństwa. Zapobiec mu — to przede wszystkim nie dopuścić do rozpowszechnienia tej broni. Taki cel przyświeca europejskim krajom socjalistycznym. Ich wieloletnie wysiłki nie przyniosły jeszcze zakazu proliferacji, ale w bieżącym roku dwukrotnie w ONZ uzyskały szerokie poparcie. Postęp w tym kierunku można mierzyć także tym, że cztery spośród pięciu światowych mocarstw, a więc wszystkie uczestniczące w pracach tej organizacji, głosowały za nierozpowszechnianiem. Można to uznać za dobry prognostyk na nowy, nadchodzący rok. Stawka jest bardzo wysoka — wierzymy — będzie wygrana z pożytkiem dla ludzkości.

W pokojowych wysiłkach, jakie w złożonej i napiętej sytuacji międzynarodowej, podejmowane były przez Związek Radziecki i europejskie kraje socjalistyczne ma swój niemały udział także Polska. Jej prekursorska rola w inicjatywach, zmierzających do pohamowania zbrojeń i zapewnienia narodom bezpieczeństwa, dała o sobie znać i w kończącym się roku. Wystarczy, jeśli przypomnimy tutaj o przyjętej propozycji, aby sekretarz generalny NZ przedłożył autorytatywny raport o skutkach broni nuklearnej.

Równocześnie, jak i w latach poprzednich, wiele uwagi poświęcaliśmy kontaktom z krajami spoza socjalistycznej wspólnoty. Wiele rozmów w Warszawie i poza granicami Polski przyniosło wyjaśnienie stanowisk i ich zbliżenie.

Szczególne znaczenie miała jednak dla nas wizyta partyjno-rządowej delegacji w Moskwie. Wspólne ustalenia są kierunkiem działania obu krajów na arenie międzynarodowej w najbliższym okresie. Świat dwu- i wielostronnym moskiewskim rozmowom przysłuchiwał się z najwyższym zainteresowaniem.

A teraz, kiedy już przypomnieliśmy niektóre z najważniejszych wydarzeń roku i wskazaliśmy na zarysowujące się tendencje — powróćmy do postawionego na wstępie pytania. Myślę, że mimo wszystkich trudności, jakich na arenie międzynarodowej nie poskąpił odchodzący rok, można oczekiwać korzystnego ewoluowania sytuacji. Dlatego pytanie: co dalej? — znajduje optymistyczną odpowiedź.

W. SŁAWSKI

1966

STYCZEŃ

■ Organ KC Rumuńskiej Partii Komunistycznej „Scinteia" w artykule na temat jedności międzynarodowego ruchu robotniczego wyraża przekonanie, że jeszcze nie jest za późno na zapobieżenie zaostrzeniu się rozbieżności i rozłamowi w ruchu.

■ Paryski związek muzyków przy poparciu rządu wszczął kampanię mającą na celu zastąpienie występujących w Paryżu jazzmanów amerykańskich przez muzyków francuskich.

■ Według raportu UNESCO liczba analfabetów w świecie zwiększyła się w ciągu minionych 10 lat o 35 milionów i wynosi 700 milionów ludzi.

■ W Wietnamie południowym po przerwie świątecznej wznowione zostały działania wojenne.

■ W Taszkiencie zakończyły się rozmowy między prezydentem Pakistanu Ayub Khanem i premierem rządu Indii L. B. Shastri. W „Deklaracji" obie strony zobowiązały się przywrócić wzajemne normalne i pokojowe stosunki. Tuż po zakończeniu rozmów zmarł nagle na atak serca L. B. Shastri.

■ Dziennik „Izwiestia" zamieścił artykuł pt. „Kameleony", o dwóch autorach radzieckich — A. Sieniawskim i J. Danielu, którzy przez kilka lat wydawali pod pseudonimami (Abram Terc i Nikołaj Arzak) swoje utwory na Zachodzie.

„Nie byłem w Moskwie by zbierać plony, byłem by siać"
CHARLES DE GAULLE

■ Tunezyjski tygodnik „Jeune Afrique" podaje, że ZRA postanowiła importować 20 milionów sztuk środków antykoncepcyjnych w ramach realizacji programu planowania rodziny.

■ Fidel Castro podał do wiadomości, że ChRL odmówiła utrzymania wymiany handlowej z Kubą w 1966 r. na poziomie roku 1965.

LUTY

■ Po 37 dniach przerwy USA wznowiły bombardowania Demokratycznej Republiki Wietnamu.

■ ŁUNA-9 miękko ląduje na powierzchni Księżyca. W setkach komentarzy najpoważniejsi uczeni określają lądowanie jako epokowy sukces radzieckiej nauki.

■ Fidel Castro oświadczył, iż obniżenie chińskich dostaw ryżu dla Kuby stanowi represję ekonomiczną zastosowaną przez Chiny ze względów politycznych.

■ Na łamach „Zeri Populit" (Albania) prowadzona jest kampania wzywająca działaczy partyjnych do udziału w pracy fizycznej.

■ Śledztwo przeprowadzone w Hamburgu doprowadziło do odkrycia w tamtejszym więzieniu „izby tortur", funkcjonującej od 1964 roku.

■ W Paryżu kolejne spotkanie de Gaulle — Erhard. Konkretnych wyników nie ma, rozbieżności pozostały.

■ Poeci irańscy rozczarowali się do... księżyca, który od wieków był symbolem piękna. „Obecnie, kiedy okazało się, że powierzchnia srebrnego globu jest brzydka i pospolita, poeci irańscy — oświadczył jeden z członków Zrzeszenia, muszą rozejrzeć się za nowym obiektem do porównań sławiących czyjeś piękno".

■ Rząd NRD przesłał na ręce U Thanta pismo w sprawie przyjęcia NRD do ONZ.

■ 100 milionom ludzi w Indii grozi głód. Rząd indyjski może pomóc tylko 5—6 milionom osób. Potrzeby tego kraju szacuje się na 11—14 milionów ton zboża.

■ We Francji ukazały się po raz pierwszy opowiadania A. Sołżenicyna. Prasa paryska porównuje go z Dostojewskim i Tołstojem.

MARZEC

■ W Moskwie obradował XXIII Zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

■ Od 1 marca skrócono czas pracy w NRD. Co drugi tydzień pracownicy mają wolną sobotę.

■ Prezydent de Gaulle zażądał podporządkowania amerykańskich baz militarnych we Francji oraz stacjonujących tam wojsk USA dowództwu francuskiemu. Po odpowiedzi odmownej Johnsona, prezydent Francji zapowiedział wycofanie Francuzów ze składu zintegrowanych dowództw, których siedziby znajdują się we Francji.

■ W Ghanie zamach stanu. Prezydent Nkrumah przebywający z wizytą oficjalną w Pekinie pozbawiony został władzy.

■ Premier Wilson bawi z wizytą w Moskwie, gdzie jak podała prasa londyńska „z niczego nie ustąpił i nic nie uzyskał".

■ Stany Zjednoczone zamówiły w Japonii 400 tysięcy specjalnych worków nylonowych, w których zwłoki poległych żołnierzy amerykańskich w Wietnamie będą przesyłane do USA.

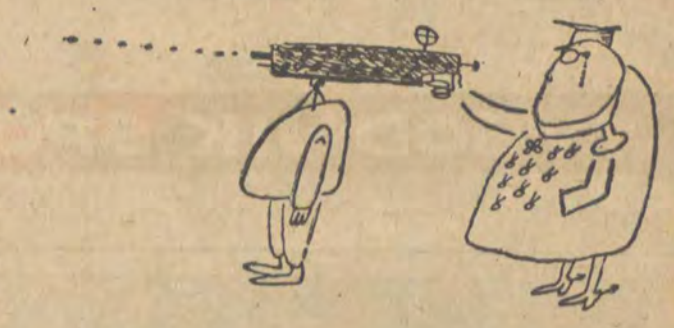

■ W Albanii dokonano redukcji personelu administracji centralnej o 50 proc., a terenowej o 10 proc.

■ W 1965 roku do Związku Młodzieży Komunistycznej Chin przyjęto 8,5 miliona członków. Głównym kryterium przy przyjmowaniu młodzieży jest aktywność w studiowaniu dzieł Mao.

■ Dr James Webb, dyrektor amerykańskiej krajowej agencji do spraw astronautyki i badań kosmicznych oświadczył, że Stany Zjednoczone pozostają o dwa lata w tyle za Związkiem Radzieckim w dziedzinie badań kosmicznych.

KWIECIEŃ

■ Według informacji podanej przez Agencję Sinhua obecnie w rolnictwie i przemyśle chińskim pracuje ponad 100 tysięcy pisarzy, malarzy, aktorów i innych przedstawicieli zawodów twórczych.

„De Gaulle jest jak pociąg rozganiający ludzi, którzy wędrują grupą wzdłuż toru kolejowego".
LYNDON B. JOHNSON

■ Pod względem przyrostu naturalnego Węgry znajdują się w statystyce światowej na ostatnim miejscu.

■ Labourzyści odnieśli największy sukces wyborczy po drugiej wojnie światowej. Partia Pracy zdobyła ponad 100 tysięcy mandatów przewagi w Izbie Gmin.

■ W Stanach Zjednoczonych aresztowano grupę fałszerzy papierów wojskowych, które ułatwiały odroczenie czynnej służby w armii. Fałszywe świadectwa kosztowały od 1000—5000 dolarów.

KRZYSZTOF POGORZELEC

ILU NAS?

To pytanie pada coraz częściej.

I to wcale nie z prostej ciekawości. Bo — z grubsza biorąc — sporo już wiemy. Zresztą, jedno zerknięcie do najnowszego Rocznika Statystycznego upewni nas, że np. aktualnie Polska, pod względem liczby mieszkańców, zajmuje wśród krajów Europy umiarkowanie zaszczytne — jakby to określili sprawozdawcy sportowi — siódme miejsce, a biorąc pod uwagę świat znajdujemy się na 17 pozycji.

Więc?

Trzeba się chyba raczej zapytać: i l u n a s b ę d z i e?...

Tak, ten pytajnik, przyznacie — jest znacznie bardziej frapujący.

Najpierw musimy się jednak odwołać do przeszłości.

Wiadomo: wojna spowodowała w naszym kraju nie tylko ubytek ludności, ale również — co nie jest bez znaczenia dla rozmaitych procesów społecznych, ekonomicznych czy nawet kulturalnych, wywołała szereg poważnych zakłóceń w naturalnych zjawiskach demograficznych. Myślimy tutaj o zmniejszeniu się liczby małżeństw i urodzeń.

Życie nie znosi jednak próżni. Przyszły zresztą nowe warunki i stopniowa normalizacja, a przede wszystkim ogólna, chociaż nie tak szybka jakbyśmy chcieli, poprawa sytuacji materialnej i zdrowotnej, przyszły lata 1948—1955, które demografowie określają mianem „czasu szczególnej kompensacji". Odnosi się to specjalnie do Polski.

Znamy to, znamy — słowem: w y ż d e m o g r a f i c z n y.

Ano tak. Może warto jednak przy tej okazji porozmawiać o zjawiskach już mniej znanych, o tym np., że podobne procesy demograficzne wystąpiły nie tylko w naszym kraju, ale również w innych państwach europejskich. Ten demograficzny „b o o m", przeżyły przede wszystkim takie kraje jak Niemiecka Republika Federalna, Francja, Wielka Brytania, Włochy, ZSRR i Hiszpania, a więc komplet państw, które aktualnie wyprzedzają Polskę pod względem liczby mieszkańców. Różnice są zresztą już i dziś niewielkie i np. od Hiszpanii — naszego najbliższego

■ Sinhua: „Doświadczenie nauczyło nas — oświadczył dowódca plutonu chińskiej armii — że najlepszą bronią nie są samoloty ani artyleria, ani czołgi, ani bomby atomowe, ale myśl Mao Tse-tunga..."

■ W Szwajcarii zmarł Erwin Piscator, twórca nowoczesnego teatru politycznego, związany z ruchem politycznym i artystycznym międzywojennej lewicy niemieckiej.

■ Amerykanie uczynili dalszy krok na drodze eskalacji agresji na DRW: zaatakowali wyrzutnie rakietowe w odległości 24 kilometrów od Hanoi i elektrownię w pobliżu Hajfongu.

> *„Rasowych polityków poznaje się po tym, że potrafią być aktywni w wyczekiwaniu".*
>
> *JACQUES SERVAN-SCHREIBER*
> *publicysta*

■ **Katarzyna Furcewa — minister kultury ZSRR oświadczyła na XXIII Zjeździe KPZR: „Plenum KC KPZR z października 1964 r. położyło kres nie tylko subiektywizmowi w polityce i ekonomice, lecz również administrowaniu i metodom pokrzykiwania w dziedzinie kierowania twórczością artystów".**

MAJ

■ Premier ChRL Czou En-laj przemawiając na wiecu w Pekinie zwołanym na cześć delegacji albańskiej ostro skrytykował XXIII Zjazd KPZR, oświadczając między innymi, że był to Zjazd, który kontynuował „rewizjonistyczną" linię, „pokojowego współistnienia", „pokojowego przejścia", „pokojowego współzawodnictwa", „partii całego narodu" oraz „państwa ogólnonarodowego".

■ **W ZSRR poddano w wątpliwość celowość przemianowania Stalingradu na Wołgograd. W literaturze — stwierdził sekretarz Związku Pisarzy RFSRR — niektórzy autorzy piszą bez zażenowania o bitwie wołgogradzkiej. „A tymczasem takiej bitwy nie było. Była bitwa, ale nazywała się bitwą stalingradzką i nie da się tego ukryć, jak zresztą nie da się również ukryć bezspornego faktu, że przez cały czas wojny Stalin był wodzem naczelnym".**

■ W Taszkiencie miało miejsce silne trzęsienie ziemi. Zniszczeniu uległo wiele budynków.

■ Oblicza się, że obywatel CSRS spożywa dziennie ponad 3000 kalorii. Jest to jeden z najwyższych poziomów na świecie.

■ Na zaproszenie rządu ZRA bawił z wizytą oficjalną w tym kraju A. Kosygin.

■ Zapowiedziana przez Francję próbna eksplozja jądrowa na Pacyfiku wywołała poważne zaniepokojenie krajów Ameryki Łacińskiej.

CZERWIEC

■ Premier Fidel Castro ogłosił stan pogotowia bojowego wszystkich jednostek kubańskich sił zbrojnych oraz całej ludności cywilnej Kuby. Decyzja ta miała związek z incydentami na terenie bazy morskiej USA Guantanamo.

■ „Literaturnaja Gazieta" przedrukowała pełny tekst artykułu opublikowanego w chińskim dzienniku „Ciefangciunpao" — „Pomówmy o filozoficznych problemach sprzedaży arbuzów w wielkich miastach".

■ **Do Moskwy przybył z wizytą oficjalną prezydent Francji Charles de Gaulle. Była to druga wizyta de Gaulle'a w ZSRR, lecz pierwsza wizyta prezydenta Francji w Moskwie od 1914 r.**

■ Świat wydaje na zbrojenia 130 miliardów dolarów rocznie, natomiast na oświatę i publiczną służbę zdrowia 125 miliardów.

■ „Komsomolskaja Prawda" opublikowała felieton, w którym autor domaga się zaostrzenia walki z prostytucją.

■ W Rumunii przebywała partyjno-rządowa delegacja ChRL z Czou En-lajem na czele.

■ Rząd indyjski wystosował do Pakistanu 27 not protestacyjnych z powodu naruszenia granicy przez pakistańską straż graniczną od połowy stycznia br., tj. od czasu porozumienia taszkienckiego. Rzecznik pakistański oznajmił zaś, że jego rząd wystosował 15 not tej samej treści.

■ **Decyzją centralnych władz KPCh nastąpiła zmiana na stanowisku I sekretarza Komitetu Miejskiego KPCh w Pekinie. Funkcję tę pełnił członek Biura Politycznego Partii Peng Czeng.**

■ W USA zapasy nowych niesprzedanych samochodów osiągnęły rekordową liczbę 1.672.000 sztuk.

LIPIEC

■ Premier Czou En-laj bawił z wizytą oficjalną w Albanii. W tiranskim teatrze Opery i Baletu odbył się wieczór galowy na cześć chińskiego gościa. Wykonano m. in. pieśń na cześć Mao Tse-tunga pt. „Wschód jest czerwony" oraz pieśń na cześć Envera Hodży pt. „Pieśń Envera".

■ **Odbyta w Bukareszcie narada Doradczego Komitetu Państw Układu Warszawskiego, z udziałem sekretarzy partii, premierów, ministrów spraw zagranicznych i obrony oraz szefów sztabu, uchwaliła jednomyślnie dwie deklaracje: w sprawie umocnienia pokoju i bezpieczeństwa w Europie oraz w sprawie agresji USA w Wietnamie.**

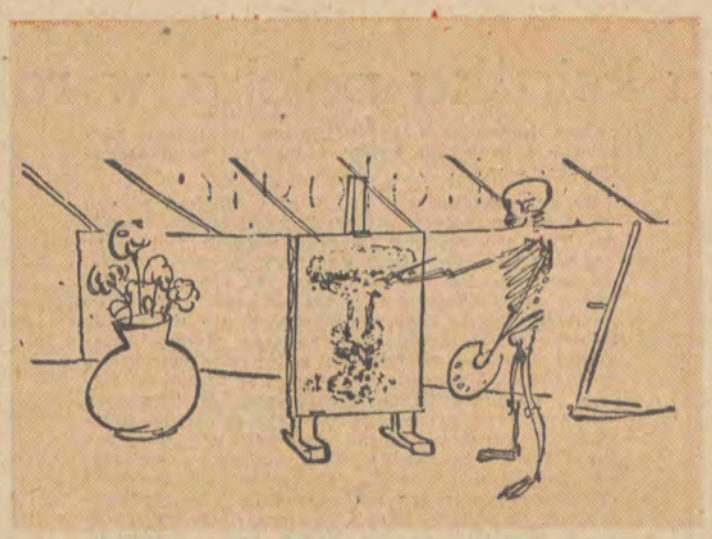

> *„Kocham Niemcy, kocham je tak bardzo, że cieszę się, iż istnieje jednocześnie dwoje Niemiec".*
>
> *FRANCOIS MAURIAC*
> *pisarz*

■ Specjalna komisja watykańska do spraw kontroli urodzeń w raporcie przekazanym papieżowi Pawłowi VI „skłania się do poglądu aprobującego — z ograniczeniem — stosowanie doustnych pigułek antykoncepcyjnych".

■ W walkach powietrznych nad DRW wzięły udział po raz pierwszy nowoczesne myśliwce MIG-21 dysponujące rakietami powietrze — powietrze.

■ Brigitte Bardot wyszła po raz trzeci za mąż, tym razem za przemysłowca niemieckiego.

■ Przyjmowanie nowych uczniów i studentów do szkół średnich i na wyższe uczelnie w Chinach zostało zawieszone na pół roku. Okres ten ma być wyzyskany dla przeprowadzenia „rewolucji kulturalnej w szkolnictwie".

■ W Derbyshire w W. Brytanii pojawili się „troglodyci". Koło tysiąca chłopców i dziewcząt w wieku 12—16 lat spędza weekendy w jaskiniach w pobliżu miasta Matlock. Około 50 żyje tam stale.

■ Indonezyjskie Tymczasowe Zgromadzenie Ludowe podjęło uchwałę pozbawiającą prezydenta Sukarno dożywotniej prezydentury.

SIERPIEŃ

■ **Agencja Sinhua informuje: „Przewodniczący Mao Tse-tung, wielki przywódca narodu chińskiego był świeży i wypoczęty po ponownym przepłynięciu rzeki Jangcy". W tym samym dniu 5 000 mieszkańców Wuhanu wzięło udział w masowych zawodach pokonując rzekę Jangcy. Pływacy popychali przed sobą wielkie napisy z hasłami i cytatami Mao.**

■ Na północy Stanów Zjednoczonych trwają zamieszki na tle rasowym. Największe nasilenie w Chicago.

■ Papież ograniczył wiek urzędowania biskupów i proboszczów do 75 roku życia.

■ W Stanach Zjednoczonych zmarł słynny śpiewak polskiego pochodzenia Jan Kiepura.

■ Moskiewski dziennik „Izwiestia" opublikował wiersz napisany przez żonę premiera Anglii Mary Wilson. Radziecki „ZAIKS" przekazał jej w charakterze honorarium 150 dolarów.

■ W Pekinie podano do wiadomości, tekst uchwały KC KP Chin o kontynuowaniu rewolucji kulturalnej.

■ AFP podaje zestawienie sił wojny wietnamskiej: siły patriotyczne liczą 282 tysiące ludzi i przeciwstawiają się ponad milionowi żołnierzy sajgońskich, amerykańskich, południowokoreańskich i nowozelandzkich.

■ W równe 9 miesięcy po słynnej awarii w dostawie energii elektrycznej liczba urodzeń w klinikach Nowego Jorku nagle skoczyła o 200 proc...

WRZESIEŃ

■ **„Literaturnaja Gazieta" stwierdza, że na skutek ignorowania demografii nikt nie jest dziś w stanie odpowiedzieć na pytanie ilu ludzi będzie zamieszkiwać Związek Radziecki w roku 1970, 1980, 2000.**

■ NRD należy do dziesięciu czołowych państw przemysłowych świata.

■ **Agencja TASS opublikowała protest radzieckiego MSZ przeciwko ekscesom antyradzieckim przed ambasadą ZSRR w Pekinie.**

■ Nie podoba nam się wojna wietnamska. Jesteśmy przeciwko niej — oświadczyli Beatlesi na konferencji prasowej.

■ W Hiszpanii przebywa na gościnnych występach radziecki balet Mojsiejewa.

■ Syn prezydenta Sukarno usunięty został ze stowarzyszenia studentów pod zarzutem przynależności do prokomunistycznej organizacji.

■ Nigeryjskie władze wojskowe dokonały obławy w biurach miasta Abeduta, aresztując wielu urzędników za lenistwo.

■ W Bukareszcie przebywał z oficjalną wizytą minister gospodarki NRF — Schmecker. Była to pierwsza wizyta NRF w kraju socjalistycznym.

■ Robert Kennedy: „Całej Afryce udzielamy pomocy ekonomicznej, równej kosztom 5 dniom wojny w Wietnamie".

■ Szejkowi Abu Dhabr nad Zatoką Perską skradziono 1 milion dolarów. Szejk zwrócił się do magów i jasnowidzów o wykrycie sprawcy kradzieży.

PAŹDZIERNIK

■ Czou En-laj przemawiając na przyjęciu z okazji siedemnastej rocznicy powstania ChRL stwierdził, że „obecna sytuacja międzynarodowa jest znakomita i sprzyjająca dla narodów rewolucyjnych. Dni imperializmu amerykańskiego i wszystkich rewizjonistów są policzone".

■ W Waszyngtonie mówi się coraz częściej o ewentualności zastosowania broni jądrowej w konflikcie wietnamskim.

■ Zbrodniarze wojenni A. Speer i Baldur von Schirach wyszli na wolność po odbyciu kary 20 lat więzienia. Osiedlili się w NRF.

■ W stolicy Filipin Manili odbyła się konferencja szefów rządów uczestniczących w wojnie przeciwko narodowi wietnamskiemu. W konferencji wziął udział prezydent Johnson.

■ „Rewolucja i kultura" pod takim tytułem „Izwiestia" publikuje artykuł radzieckiego filozofa Jurija Frencewa. „Jakaż to może być proletariacka rewolucja kulturalna? — zapytuje autor — jeśli odrzuca ona wiedzę, jeśli prowadzi naród nie do maksymalnego wzbogacenia intelektualnego, lecz do umysłowej nędzy i głodu".

■ **W Moskwie ogłoszono komunikat omawiający pobyt przedstawicieli bratnich partii (z Bułgarii, CSRS, Kuby, Mongolii, NRD, Polski, Rumunii, Węgier) na zaproszenie przywódców ZSRR.**

LISTOPAD

■ W Stanach Zjednoczonych odbyły się wybory uzupełniające do Kongresu. Duży sukces odnieśli republikanie.

■ **W Sofii obradował IX Zjazd Bułgarskiej Partii Komunistycznej. I sekretarz KC BPK Todor Żiwkow stwierdził m. in., iż „powstały odpowiednie warunki do zwołania międzynarodowej konferencji partii komunistycznych i robotniczych".**

■ Zachodnioniemiecki „Bild Zeitung": „Ochłodzenie przyjaźni z Ameryką, silne ochłodzenie przyjaźni z Francją, mróz w stosunkach ze Związkiem Radzieckim — oto nasze nędzne położenie w polityce zagranicznej".

■ W Indii przybiera na sile ruch w obronie świętych krów. Przywódcy hinduizmu domagali się uchwalenia przez parlament całkowitego zakazu zabijania świętych krów, twierdząc, iż jest to jedyny sposób ocalenia całego kraju przed suszą, nieurodzajem i klęskami żywiołowymi.

■ Mieszkająca stale w Pekinie Anna Luiza Strong wyraziła przekonanie, że Mao będzie żył jeszcze długie lata i doczeka się końca konfrontacji chińsko-amerykańskiej oraz przeżyje ewentualną wojnę nuklearną.

■ Po 18 latach rozbicia nastąpiło formalne połączenie Włoskiej Partii Socjalistycznej i Włoskiej Partii Socjaldemokratycznej. Przewodniczącym nowej partii został Nenni.

GRUDZIEŃ

■ Premier ZSRR A. Kosygin bawił z 9-dniową wizytą we Francji. Na zakończenie wizyty opublikowano komunikat, w którym stwierdza się, że stosunki francusko-radzieckie rozwijają się w szybkim tempie.

■ Amerykańskie pismo „Technology Week" stwierdza, że według danych amerykańskich Związek Radziecki opanował technikę przenoszenia w międzykontynentalnych rakietach po kilka głowic jądrowych, o mocy co najmniej 1 megatony każda.

■ Na spotkaniu z przedstawicielami pekińskich czerwonogwardzistów, przemówienie wygłosił premier ChRL Czou En-lai. „Gwardia — stwierdził premier — musi coraz bardziej wzorować się na armii, od której przejęła organizację i od której powinna uczyć się posłuszeństwa. Premier zapowiedział, że począwszy od 20 grudnia armia skieruje do oddziałów gwardyjskich w szkołach średnich 100 tysięcy instruktorów, dowódców drużyn i kompanii, którzy pomogą młodzieży w pracy politycznej i w organizowaniu nauki.

---

demograficznego sąsiada dzieli Polskę zaledwie 175 tys. osób...

To już jest jednak przeszłość. Spójrzmy więc na to, co nas w tej dziedzinie czeka.

Jesteśmy pod pewnym względem krajem zupełnie nietypowym, jeżeli w innych krajach wysoko rozwiniętych — wliczając w to państwa socjalistyczne jak i kapitalistyczne — daje się zauważyć albo stabilizacja procesów demograficznych względnie nawet spadek liczby urodzeń to zupełnie inaczej ma się sprawa w Polsce: ciągle legitymujemy się jednym z najwyższych wskaźników urodzeń. Wyliczono nawet z dużą dokładnością, że w następnym 20-leciu liczba mieszkańców naszego kraju zwiększy się — biorąc „na okrągło" — o 400 tysięcy osób, a już za niespełna pięć lat Polska stanie się szóstym państwem Europy jeśli chodzi o liczbę ludności. Prze-

suniemy się więc o jedno miejsce do przodu, przed Hiszpanów.

No, dobrze — powiecie, ale po co ta cała żonglerka liczbami, czy ani nasi spece od statystyki i demografii nie mają już nic lepszego do roboty i zajmują się... bezowocnym „wypełnianiem" pozycji w odpowiednich zestawieniach, tabelach, od których roją się wydawnictwa GUS-u. Przecież równocześnie tyle się słyszy na temat braku dobrej syntetycznej informacji, owej przysłowiowej „witaminy I", bez której nie może się obyć żadne wysoko zorganizowane społeczeństwo, przemysł, handel, rolnictwo...

Tutaj właśnie dochodzimy do niezmiernie ciekawego problemu.

Niedawno, w Zakopanem, obradowała ogólnopolska konferencja demografów, a wśród wielu problemów tam podjętych znalazły się między innymi takie, jak choćby procesy reprodukcji ludności w naszym kraju, umieralności ogólnej i umieralności niemowląt, rehabilitacji chorych, wypadków przy pracy, defeminizacji ludności, modelu rodziny chłopskiej, migracji czy wreszcie badania antropologiczne. Dla nas, łodzian, interesujące może być również i to, że znaczny wkład w konferencję mieli naukowcy naszego ośrodka uniwersyteckiego z prof. dr Edwardem Rossetem, będącym aktualnie przewodniczącym Komitetu Nauk Demograficznych PAN.

Po zaspokojeniu tych lokalnych ambicji warto jednak przede wszystkim zwrócić uwagę na cel który przyświeca całej pracy polskich demografów. Chyba nie mylimy się twierdząc, że ta dyscyplina chce rozwijać się i ściśle współdziałać z takimi gałęziami nauk jak socjologia, medycyna, ekonomia polityczna, antropologia, że wreszcie chce spełniać rolę służebną, ale jakże istotną przy ustalaniu działania, określaniu programów produkcji, inwestycji w przemyśle, służbie zdrowia, handlu, ba — wszędzie tam, gdzie chodzi o człowieka.

Aż trudno uwierzyć jak istotną rolę mogą mieć i mają dla naszego codziennego życia takie pozornie „laboratoryjne" badania!

Sięgnijmy więc po jakiś przykład...

Choćby ubiór. Wiadomo, że już co drugi statystyczny Polak zrezygnował z usług „mistrza igły" i korzysta z wyrobów przemysłu odzieżowego, szytych — jak nazwa wskazuje — metodami, właśnie, przemysłowymi. Wynikają z tego określone konsekwencje i zarazem pytajniki w rodzaju: ile należy uszyć odzieży, by zaspokoić potrzeby; jakie to mają być ubiory, dla kogo, jakie muszą być wymiary, wzajemne proporcje...

I jeszcze jedna ciekawostka: czy wiecie, że w ciągu ostatnich 20 lat znacznie się zmieniły niektóre cechy antropologiczne przeciętnego Polaka, dotyczy to np. mieszkańców naszej wsi, którym wyraźnie... wyszczuplały stopy. Wniosek z tego musiał wyciągnąć przemysł obuwniczy.

Takich problemów i problemików jest oczywiście znacznie więcej. A liczba miejsc w szkołach — oczywiście z odpowiednim „wyprzedzeniem", ile trzeba wybudować mieszkań, jakich, ile kin, przedszkoli, żłobków i łóżek szpitalnych, a nawet sklepów.

Na te wszystkie pytania starają się m. in. odpowiedzieć demografowie. Nic więc dziwnego, że tak często i nie tylko w Polsce, pytają się: ILU NAS?

MARIAN PIECHAL

Najwybitniejsza książka polska w roku 1966

Uważam za taką pierwsze dwa tomy „Dzieł zebranych" Cypriana Norwida, wydane przez PIW w znanej serii „Biblioteki Poezji i Prozy", przypominającej słynną paryską edycję klasyków literatury francuskiej i światowej „Bibliotheque de la Pleiade".

Opracował je najwybitniejszy dziś znawca i egzegeta życia i twórczości tego olśniewającego fenomenu poezji polskiej, godny kontynuator jego odkrywcy Miriama (Zenona Przesmyckiego) — Juliusz Wiktor Gomulicki sam zresztą odkrywca niejednego jeszcze utworu Norwida zagrzebanego w grubych warstwach powszechnej ignorancji i zapomnienia.

Pierwszy tom zawiera „Tekst" wszystkich do dziś odszukanych wierszy lirycznych Norwida, drugi tom zawiera „Dodatek krytyczny" do nich, oba tomy zapoczątkowują 12-tomowe pełne wydanie „Dzieł zebranych" Norwida, które — miejmy nadzieję — ukończone zostanie w roku 1971, to znaczy w 150 rocznicę urodzin poety, stanowiąc godne uczczenie tej rocznicy.

Sądząc po pierwszych dwóch tomach będzie to pierwsze zaiste pomnikowe wydanie dzieł Norwida. Znajdą się w nim prócz wydanych obecnie wierszy lirycznych, w następnych dwóch tomach poematy i utwory cykliczne poety, potem w kolejno wydawanych rzutach po dwa tomy utwory dramatyczne, pisma prozą, pisma różne, a wreszcie korespondencja Norwida, przetasowana listami do niego. Każdy z tych działów twórczości Norwida opisany oczywiście i opatrzony w odpowiednie komentarze krytyczne wydawcy.

Ktoś może zapytać: czy to jest potrzebne? Odpowiem: nie tylko potrzebne ale wprost konieczne! Nie łudźmy się, co do powszechnej znajomości Norwida i co do umiejętności właściwego odczytywania i rozumienia jego tekstów, trudnych w sensie zarówno zawiłej nieraz formy jak i złożonej bardzo i wieloznacznej treści. Gdzie jak gdzie, ale w pierwszym kompletnym wydaniu tak enigmatycznego dotąd poety jak Norwid, wyczerpujące komentarze krytyczne są po prostu niezbędne i brak ich byłby poważnym mankamentem tej edycji.

Bo przypatrzmy się pod tym względem pierwszym dwóm dotychczas wydanym tomom Norwida. Tom zawierający liryczne wiersze podaje po raz pierwszy ich teksty poprawne a cykle liryczne, jak np. „Vade-mecum", po raz pierwszy właściwie uporządkowane i pełne, poza tym kilka nowych wierszy, które dotychczas nie weszły do żadnego wydania książkowego oraz utwory i fragmenty liryczne wydzielone z innych kontekstów poetyckich. Wszystkie te utwory ułożone są według chronologii ich powstawania w dwunastu działach, przy czym dwa ostatnie działy, to „przekłady i parafrazy" oraz „wiersze przypisywane Norwidowi," zaś każdy dział opatrzony zwięzłymi „uwagami edytora", podającymi ich genezę i charakter. Nadto ten pierwszy tom jako wprowadzający do całości edycji zawiera obszerną przedmowę, kreślącą swoiste dzieje losów wydawniczych dzieł Norwida i wyjaśniającą koncepcję wydania obecnego, a tuż po niej niezwykle cenną „małą kronikę życia i twórczości Cypriana Norwida", osobne dzieło Juliusza W. Gomulickiego po raz pierwszy synchronizujące dzieła twórcze z dziejami życia autora „Promethidiona". Jest to praca o nieocenionej wprost doniosłości dla zrozumienia tajemniczych i skomplikowanych powiązań między dziełami twórcy a doświadczeniami jego życia. Prócz szczegółowej bibliografii prac Norwida i o Norwidzie tom zaopatrzony jest jeszcze w końcowe informacje p.t. „Źródła i zasady wydania „Dzieł zebranych" Norwida.

To zawiera tom pierwszy. A co zawiera drugi? Właśnie ów „dodatek krytyczny" do liryków Norwida, zebranych w tomie pierwszym. Jest to bibliografia szczegółowa wierszy Norwida, potem niezwykle skrupulatne i dokładne metryki ich tekstów, odmian tych tekstów i wyczerpujące do nich komentarze, podające ściśle gdzie, kto, kiedy i co napisał i jaki sąd wydał o danym utworze. Wreszcie na zakończenie tego tomu podana jest informacja o zaginionych wierszach Norwida, o „pseudo-norwidianach", o autografach wierszy poety i aneksy, zawierające poprawki autorskie w autografach i osobliwości ortograficzne Norwida zatarte w tekstach drukowanych jego utworów.

Zaiste, tytaniczna wprost praca. I wszystko to zrobił jeden człowiek! I jak to zrobił? Moim zdaniem bezbłędnie. Bez żadnego kolegium czy zespołu pomocniczego. Kiedy się czyta te wszystkie komentarze, objaśnienia, wyjaśnienia, uwagi, noty, notki, zapiski, przedmowy, informacje, addendy, corrigendy, indeksy i aneksy — podziw niepomierny wzbiera w czytelniku zarówno dla niezmożonego wysiłku jak i niewyczerpanej wiedzy tego niezwykłego miłośnika i znawcy dzieł Norwida. Sądzę, że to, czego dokonał nad i dla Norwida Juliusz Wiktor Gomulicki, jest dziełem w historii naszej literatury bez precedensu. Można oczywiście mówić, że dzieło jego nie byłoby możliwe bez inicjacji Miriama podobnie jak nie byłoby możliwe dzieło Juliusza Kleinera dotyczące Słowackiego bez wstępnych prac Małeckiego — ale w samotniczym swoim trudzie i odkrywczej eksploracji obecny wydawca Norwida wychodzi poza jakiekolwiek porównania i analogie. Jest w sprawie Norwida autorytetem największym i jedynym.

Rok 1966 to ostatni rok uroczystych obchodów milenijnych naszej kultury. Wydanie „Dzieł zebranych" Cypriana Norwida to piękny akcent tych obchodów. Jeśli powiem, że znakomite opracowanie tego wydania nosi znamiona poziomu europejskiego, to powiem mało. Albowiem nie widzę wśród tegorocznych dzieł edytorskich w Europie dzieła równego dwóm pierwszym tomom „Dzieł zebranych" Norwida w opracowaniu J. W. Gomulickiego.

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

Między pisarzem a czytelnikiem

Nie mam już żadnych wątpliwości — Polska jest krajem konkursów i festiwali. Ktokolwiek w to powątpiewa, niechże sobie zada trud policzenia ileż to ich było w ciągu roku 1966. Mam na myśli tylko konkursy i festiwale poświęcone literaturze.

Dzielą się one na:

a) konkursy i festiwale dla twórców, jako to — turnieje jednego wiersza, z okazji bitwy, urodzin, lub entej rocznicy zgonu. Są także turnieje, czy konkursy nieco botaniczne w rodzaju rubinowej hortensji, ornitologiczne — złotego pióra, czy dziennikarskiej kaczki i związane z porami roku, a więc wiosny kłodzkie, łódzkie itd. itd.

Grupa „a" charakteryzuje się tym, że pisarze piszą rękami, a czasem nogami, a czytają jurorzy, ponieważ muszą, gdyż otrzymują za to honorarium. To trudne zadanie ułatwiają im niekiedy sami autorzy, którzy ucierają pomału obyczaj obsyłania swoimi utworami szeregu konkursów, a ponieważ bywają to te same utwory, po pewnym więc czasie można pewne wiersze wykuć na pamięć.

b) konkursy, quizy, zgaduj-zgadule, błyskawiczne turnieje oraz wielkie plebiscyty dla odbiorców, którzy powinni wykazać się znajomością twórców. Oczywiście, za pewnym wynagrodzeniem, które może sięgać kilkudziesięciu tysięcy złotych. Tego rodzaju imprezy urządza niezawodna telewizja i — oczywiście — radio, co druga szanująca się gazeta, wojewódzkie, powiatowe, miejskie i gromadzkie domy kultury, organizacje społeczne, zwłaszcza młodzieżowe, rady zakładowe, towarzystwa popierania i krzewienia, a także towarzystwa rozmaitej wiedzy.

Grupa „b" charakteryzuje się pewnym, niekiedy rzeczywiście istotnym wpływem na wzrost zainteresowań kulturalnych, wpływa jednak daleko mocniej na ożywienie rynku gospodarczego. Gdyby bowiem policzyć nagrody za łaskawe przeczytanie takiego czy innego pisarza, a więc te telewizory, radia, pralki elektryczne, motorowery, magnetofony, zestawy płyt, samochody marki „Syrena", lodówki, kombajny kuchenne, adaptery, kupony ubraniowe, skutery i wszelkie inne dobro — wyjdą w sumie wcale nie takie chude miliony. Z czego wynika jasno, że wbrew opiniom pesymistów wydajemy mnóstwo pieniędzy na kulturę.

Grupę „a" i „b" cechuje pewne podobieństwo. O ile w przypadku pierwszym wyłoniła się już dość wyraźna w poszczególnych środowiskach twórczych żelazna kadra konkursowiczów, znana także pośród młodych poetów łódzkich, to w przypadku drugim — akurat tak samo. Tu także zaczynamy mieć do czynienia z nieformalizowaną co prawda, ale wyraźną grupą zawodowców, prawdziwych i niezwykle pomysłowych organizatorów dobrych wyników szczególnie w tak zwanych masowych plebiscytach czytelniczych. Wpadłem na ich trop wiedziony niezdrowym zarozumialstwem. Trudno, moja wina, nie zgłaszam pretensji. Chciałem mianowicie zobaczyć czytelników, którzy głosowali na moją książkę. I zobaczyłem grupę ludzi, ponad pięćdziesięciu, z których pięćdziesięciu oddało na mnie głosy, ale książki nikt nie czytał.

Rozumiem, telewizor za Mickiewicza, czy Sienkiewicza, albo Putramenta, to się jakoś kalkuluje, każdy z nich wart jest przecież adapteru, czy elektrycznej gitary. A ot, nasi menażerowie, wyspecjalizowani w masowych plebiscytach, doprowadzili już do tego, że można dostać forsę, albo lodówkę nie łamiąc sobie głowy nad książką. Wystarczy głosować. Mają nawet przygotowane głosy na rok przyszły. Słyszałem, że najlepiej idzie im z dziatwą szkolną, która jest wbrew pozorom posłuszna i bardzo lubi dyktanda.

Nie ma róży bez kolców, no, bo chociaż wysokość omawianych wyżej nakładów na kulturę rośnie, sama kultura znacznie mniej zyskuje. Pewien poseł opozycyjny, rzecz działa się — oczywiście — za nieboszczki sanacji — zapytał kiedyś w Sejmie RP — jak jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Jeżeli ze współczesnych statystyk wynika dynamiczny wzrost czytelnictwa, to czemu w niektórych naszych środowiskach kultura wzajemnych stosunków, odniesień, jest rozpaczliwie niska, wręcz dzika? O to pytał na krótko przed Kongresem Kultury Polskiej — profesor Klemensiewicz.

Ponarzekać łatwo, o konkretne wnioski trudniej. A u nas żąda się od publicysty wniosków, pomocy, instruktażu. Pewien kierownik PZGS-u powiedział dziennikarzowi: wy mnie nie krytykujcie, wy mi powiedzcie, jak ja mam pracować, żeby było dobrze? No, dobra, a jak w ten sposób powiedzą wszyscy, którzy za coś odpowiadają na szczeblu podpadającym pod krytykę?

Zresztą dobrze. Oto wniosek pierwszy: nie powinniśmy urabiać przekonania, że za obcowanie z książką należy się nagroda, za obcowanie, przeżywanie wszelakiej twórczości kulturalnej — można wyjechać na wczasy do Złotych Piasków. Drugi: jeżeli zgodzimy się, że wydaje się u nas miliony na wyposażenie kuchni, saloniku, stroje, czy eleganckie wczasy i to z okazji Roku Mickiewicza, czy najwybitniejszych książek roku, czy nie lepiej te same miliony wydać na inwestycje kulturalne?

Wreszcie wniosek trzeci, nie taki zresztą łatwy do zrealizowania i z pewnością długofalowy. Głosować — nie znaczy przeczytać, a przeczytać nie znaczy — przeżyć. Wydaje mi się, że pogłębienie kultury czytelniczej, obce sukcesom statystycznym i pogoni za „głosami" — powinno wysunąć się w roku przyszłym na czoło w hierarchii spraw ważnych w naszym życiu kulturalnym.

JAN KOPROWSKI

W kawiarni wiedeńskiej

Do najstarszych kawiarni w Europie należą bez wątpienia kawiarnie paryskie. Zwłaszcza „Café Procope", nazwana tak od imienia jej założyciela, zapisała się złotymi głoskami w dziejach kultury. Tutaj przychodzili na kawę i dysputy Jean Jacques Rousseau, Diderot, d'Alambert, Beaumarchais, a także zapomniany dziś całkowicie poeta Linant, o którym powiedział kiedyś Welter: „Uważa się za osobistość, ponieważ bywa w teatrze i w kawiarni Procope". W roku 1716 Paryż liczył około trzystu kawiarni, a w 1788 było ich tam już osiemset. „Można tu znaleźć ludzi wszelkiego pokroju — pisał anonimowy sprawozdawca w r. 1700 — wygalantowanych mężczyzn, kokietujące niewiasty, żołnierzy, kramarzy, prowincjuszy, cudzoziemców, zawodowych pijaków i graczy, awanturników, baronów przemysłu, młodzieńców z fortuną, stare kokoty, pyszałków i blagierów, pięknoduchów i wielu innych".

W porównaniu z paryskimi, kawiarnie wiedeńskie nie rozwijały się w tak szybkim tempie. I choć pierwsza kawiarnia, w Wiedniu, której założycielem był Polak Franciszek Kolczycki, powstała już w 1683 roku, po zwycięstwie Sobieskiego nad Turkami, długo trzeba było czekać, nim powstanie ich w mieście więcej i nim staną się, podobnie jak w Paryżu, przybytkami spotkań i gwarnych rozmów. A i kobiety w wiedeńskich kawiarniach poczęły pojawiać się dopiero gdzieś koło roku 1850, podczas gdy Paryżanki już sto lat wcześniej piły kawę przy kawiarnianym stoliku.

Co jednak od razu poczęło odróżniać Wiedeń od Paryża, to mianowicie to, że w kawiarni wiedeńskiej rychło pojawiły się gazety i pisma, i ludzie spędzali tam wiele godzin na czytaniu. — „Gazety i czasopisma — pisze przebywający w stolicy naddunajskiej turysta — podaje się tutaj wraz z kawą. Należą one do konsumpcji tak samo jak cukier i szklanka wody". A woda w Wiedniu, mogę was zapewnić, jest wyśmienita. Wcale się nie zdziwiłem, przeczytawszy w jakiejś zagranicznej gazecie, że artysta, zapytany, jaki jest jego ulubiony napój, odpowiedział: — Woda w Wiedniu. Są nawet tacy, którzy idą do kawiarni, by zamówić kawę, ale wypijają wodę, podawaną tam w osobnej szklance do każdej filiżanki kawy. Jest to woda, dobywana ze źródeł głębinowych. Rzeczywiście wyjątkowo smaczna i na letnie upały niezastąpiona. W ciągu jednego miesiąca wypiłem tej wody więcej, niż w Łodzi przez całe lata.

Można bez obawy popadnięcia w przesadę powiedzieć, że dzieje kawiarni wiedeńskiej to w pewnej mierze również dzieje austriackiej literatury. Największe na tym polu zasługi należy przypisać kawiarni Griensteidl, której nazwa — jak większości wiedeńskich kawiarni — pochodziła od jej założyciela. Heinrich Griensteidl, aptekarz z zawodu, pewnego dnia doszedł do wniosku, że praca we własnej aptece przestała mu już odpowiadać i postanowił zmienić zajęcie. Założył kawiarnię, która przez lat pięćdziesiąt (1847—1897) była punktem zbornym dziennikarzy, literatów, intelektualistów i patriotów. W niej odkryto talent młodego Lorisa, pod którym to pseudonimem ukrywał się gimnazjalista, a później znakomity pisarz Hugo von Hoffmannstahl. Tutaj przesiadywał brodaty Hermann Bahr, wyglądający jak prorok, autor niespożyty, dający o sobie znać piórem na wszystkich poletkach literatury.

W „Café Griensteidl" urzędował późniejszy wydawca, redaktor i autor w jednej osobie czasopisma „Die Fackel", które było postrachem dla piszących. Karl Kraus nie miał litości dla nikogo, lista jego wrogów (z czego bardzo się cieszył) zwiększała się z roku na rok, ba! z miesiąca na miesiąc. Mówił o sobie: „Wiedeń liczy milion dwieście tysięcy mieszkańców — i mnie". Jedynym jego przyjacielem, któremu pozostał wierny do śmierci i opłakał jego zgon, wygłaszając piękne przemówienie nad grobem — był Peter Altenberg, najbardziej znana postać swojego czasu. Peter Altenberg, zwany w skrócie P. A., nie miał nigdy własnego domu — śpiał w hotelach a mieszkał w kawiarni. Przez wiele lat „Café Griensteidl" była dla niego prawdziwą przystanią. Siadywał tu godzinami, jadł, dyskutował z Karlem Krausem i pisał. Pisał swoje miniatury prozą, „intelektualną lirykę", jak nazwał je Tomasz Mann, na serwetkach kawiarnianych. Gdy czasami zabrakło serwetek na stoliku, kelner natychmiast to zauważył i przynosił nowe, aby pan Altenberg miał na czym tworzyć swoje realistyczne fantazje.

Gdzież się podziały te niegdysiejsze czasy?

Nie ma kawiarni Griensteidl, na jej miejsce zjawiły się nowe, na przykład Café Central, o której Alfred Polgar, wielki mistrz małych form, powiedział: to nie kawiarnia, to światopogląd. Ale i Café Central już nie istnieje. Odeszła w przeszłość jak inne. Dziś młodzi i starsi pisarze zbierają się w Café Raimund, kawiarni pod wezwaniem autora, który pisał piękne sztuki i sam w nich tego zagrywał. Mnożą się też bary esspresso, gdzie na stojąco, „w szybkich abcugach" można wypić filiżankę kawy i znowu odejść — w siną dal. Ale nic nie zaćmi tych starych, owianych legendą kawiarni. Peter Altenberg wystawił im nie lada pomnik — krótki utwór (nigdy nie pisał długich) pt.: „Kaffeehaus". Oto, co P. A. napisał: „Masz troski takie czy owakie — do kawiarni! Ona nie przyszła z tych czy innych, choćby prawdziwych powodów — do kawiarni! Masz podarte buty — do kawiarni! Masz 400 koron a wydajesz 500 — do kawiarni! Jesteś urzędnikiem, a chętnie byłbyś lekarzem — do kawiarni! Nie znajdujesz takiej, co by dla ciebie była odpowiednia — do kawiarni! Jesteś wewnętrznie przygotowany do samobójstwa — do kawiarni! Nienawidzisz i pogardzasz ludźmi, a mimo to nie możesz się bez nich obejść — do kawiarni! Już nigdzie nie chcą ci skredytować — do kawiarni!"

Ale gdyby P. A. ożył nagle w naszych czasach, bardzo by się zdziwił: dzisiejsze kawiarnie nie udzielają kredytu.

Carskie łowy w Spale

Późna jesienią 1871 r. skromna plebanię ks. Ludwika Żmudowskiego w Białobrzegach odwiedzili niespodziewani goście. Ściągnęła ich tu sława Żmudowskiego, zapalonego i wytrawnego myśliwego, który jako syn miejscowego podleśnego znał lasy lubocheńskie i radzickie na wylot. Całe życie tutaj polował i stąd zapewne powszechnie znano go jako „księdza wypłosza".

„Ksiądz wypłosz miał kłopot nie lada, bowiem nieoczekiwanym gościem okazał się ks. feldmarszałek Aleksander Boratyński, który w 1870 roku zjechał do Spały otrzymując w dożywocie pałac skierniewicki wraz z parkiem, pobliskim zwierzyńcem i bażanciarnią. Znudzony książe zapragnął jednak prawdziwego polowania na grubego zwierza. Za rada René Castellara, intendenta pałacu skierniewickiego, znającego doskonale lasy nadpilickie przyjechał więc książe do Białobrzegów. Ksiądz oddał do dyspozycji Boratyńskiego i osób towarzyszących połowę plebanii, służąc myśliwym fachowymi radami i osobistym przewodnictwem. Wiele jeszcze razy ks. Żmudowski gościł myśliwych ze Skierniewic. Pewnego razu, po udanym polowaniu książe wyraził chęć zaprotegowania księdza dla uzyskania bardziej dochodowej plebanii. „Ksiądz wypłosz" uprzejmie podziękował za „łaskawe względy" w stosunku do swojej osoby, prosząc jednocześnie, aby książe wstawił się za dwoma deportowanymi powstańcami 1863 r., którzy zostali wysłani w głąb Rosji, bez wyroku sądowego. Nie wiadomo czy książe zrealizował prośbę ks. Żmudowskiego. Pewne jest, że z myśliwskich umiejętności „księdza wypłosza" korzystał Boratyński jeszcze przez szereg lat. Jego pomoc stała się wprost nieodzowna w 1875 r., kiedy do Skierniewic zjechał Aleksander II wraz z następcą tronu, późniejszym Aleksandrem III i jego młodą małżonką.

Na rezydencję myśliwską tym razem zamieniono klasztor św. Anny w Smardzewicach.

Z pierwszego pobytu tutaj wyniósł jednak Aleksander pamięć pewnego incydentu, który na długo utkwił w jego świadomości, nakazując mu ostrożność wobec okolicznych chłopów. Okazało się bowiem, że w czasie ludowego widowiska zorganizowanego na cześć gości, z tłumu wysunął się młody człowiek w chłopskiej sukmanie i śmiało patrząc w oczy następcy tronu zaśpiewał na nutę krakowiaka:

„Choć koszula jaka taka, jaka taka
Pod nią serce mam Polaka...".

Solista okazał się młody czeladnik rzeźniczy z Tomaszowa, którego natychmiast aresztowano. Stąd zapewne późniejsza ostrożność i czujność „ochrany".

Ulubionym celem wypraw łowieckich Aleksandra była miejscowość położona w lubocheńskim leśnictwie, w obrębie osady „Cygan". Znajdowała się ona przy piaszczystym trakcie z Tomaszowa do Inowłodza. Po prawej stronie, na wzgórzu wśród starego, świerkowego wówczas lasu, blisko Pilicy stała mizerna karczma nazwana Spałą. To miejsce wybrał dla siebie cesarzewicz na przyszłą rezydencję myśliwską.

Niebrędko jednak udało się Aleksandrowi zrealizować swoje łowieckie marzenia. Przeszkodziła temu wojna rosyjsko-turecka, skomplikowana sytuacja polityczna w samej Rosji, śmierć Aleksandra II oraz niepewna politycznie pozycja następcy, Aleksandra III.

Ponownie zawitał do Królestwa Aleksander III w 1884 r. Celem jego przyjazdu był zjazd trzech monarchów: Aleksandra III, Wilhelma I i Franciszka Józefa w Skierniewicach. I choć podejmowano tu tajne decyzje polityczne, ważkie dla losów Europy i narodu polskiego, zjazd skierniewicki stanowił także doskonałą okazję do kontaktów i spotkań towarzyskich. W czasie obrad organizowano parady wojskowe i polowania. Inicjatorem łowów nadpilickich był margrabia Wielopolski. Dwór Aleksandra III umieszczono tym razem w skromnym domu nadleśniczego Mickiewicza w Lubocheńku. Aleksander uwolniony od etykiety dworskiej polował z zapałem a niewygody w Lubocheńku dodawały uroku tej improwizowanej zabawie cesarskiej. Wtedy to właśnie Wielopolski zaproponował Aleksandrowi zbudowanie stałej rezydencji myśliwskiej w Spale. Projekt zaakceptowano w Petersburgu przewidując zakończenie budowy pałacyku na rok 1886.

„Tego więc roku — wspomina współczesny pamiętnikarz — *w cichej zwykle i pustej Spale zaroiło się jesienią; zjechał dwór cesarski, a zaraz po nim cesarz z nieodstępną małżonką, w otoczeniu dostojnych gości i wybrańców swej świty. Oprócz polowań ogólnych, które mniej lubił, Aleksander specjalnie upodobał sobie poranne na stare rogacze podczas bekowiska".* Zamiłowanie do polowania i chęć, a może też i potrzeba szukania spoczynku aż w głębi lasu, z dala od form, gwaru i niebezpieczeństw otaczających tron samowładny, były niewątpliwie powodem, iż regularnie co dwa lata cesarz Aleksander III przybywał w kółku najbliższych sobie osób do Spały, aby tu zapolować i jak student na wakacjach ucieszyć się względną przynajmniej swobodą. Tym więc sposobem w ciągu krótkiego jego panowania gościł on w Spale w latach 1884, 86, 88, 90, 92 i ostatnio w 1894.

Przypatrzmy się teraz jak się to odbywały owe polowania cesarskie i jaką to była owa swoboda władcy północy.

Już na kilka miesięcy przed mającym nastąpić w jesieni polowaniu zjeżdżało do Spały paru żandarmów, którzy czuwali nad pałacem i zabudowaniami tamtejszymi. Nikt obcy nie mógł się tu już pokazać bez należytej legitymacji i uzasadnionej potrzeby pobytu w rezydencji cesarskiej. Nazywało się to „ochraną".

Mniej więcej na tydzień przed spodziewanym przyjazdem dworu (sam dzień przyjazdu był znowu do końca tajemnicą stanu), na całej długości linii drogi żelaznej od Petersburga do Brześcia Litewskiego, a potem i dalej do Iwangrodu i Kołuszek tj. na przestrzeni blisko 200 mil niemieckich rozstawiało się znowu dla „ochrany" wojsko, które dniem i nocą czuwać miało nad całością linii... *„W tym samym czasie, kilka pułków kawalerii na*

przestrzeni paruset wiorst rozstawiało pikiety dokoła lasów obu leśnictw nadpilickich, a policja wewnątrz i zewnątrz tego koła, myszkowała czyli nie wytropi gdzie osobistości podejrzanych".

Równocześnie *„służba leśna formowała z okolicznych mieszkańców listy kandydatów na obławników polowania cesarskiego, lecz nikt z włościan nie mógł być do tych list wpisany bez atestacji ze strony policji o dobrem prowadzeniu i bez oddzielnego poświadczenia jego politycznej „błagonadieżnosti" ze strony władz żandarmskich, a obławników takich jednak wybrać trzeba było około 800. Oprócz kawalerii otaczającej lasy..., po wsiach obierała sobie punkta obserwacyjne policja tj. naczelnicy powiatowi, naczelnicy straży ziemskiej i cała rzesza pieszych i konnych strażników ziemskich, którzy formowali drugi, wewnętrzny kordon „ochrany", i pilnowali wszystkich dróg wiodących do Spały. Tu znowu zjeżdżał pomocnik naczelnika okręgu żandarmskiego w charakterze naczelnika „ochrany", a z nim kilkudziesięciu żandarmów, których na czas polowania przebierano w szare z zielonymi wyłogami kurtki strzeleckie, aby swymi żandarmskimi uniformami nie zdradzali tożsamości swojej tak wobec cesarza, jak i wobec zwykłych śmiertelników".*

Podczas polowań ci przebrani za strzelców żandarmi pełnili funkcję prowadzących obławy wspólnie z rzeczywistymi strzelcami leśnymi, kontrolując bacznie chłopów uczestniczących w nagonce.

„Wreszcie przed samym przyjazdem, oddzielnym ekstra pociągiem przybywała brygada służby dworskiej. Z nimi razem konie, ekwipaże, służba stajenna, a także kilkunastu ajentów tajnych, ale już nie tutejszych lecz petersburskich, będących członkami „ochrany dworskiej" ze starszym ajentem, M. A. Aleksandrowem na czele. Główną postacią był intendent dworski. Rozpoczynał on od razu przygotowywać zapasy, wysyłać zamówienia".

Wreszcie po wielomiesięcznych przygotowaniach poczta, kuchnia, stajnie pałacowe, służba leśna, obławnicy, lokaje, posługacze, posługaczki, rozmaici dostawcy gotowi byli na przyjęcie dworu cesarskiego. Wojsko otaczające lasy, policjanci, żandarmi, ajenci tajni i jawni, miejscowi i przybyli stanowili dostateczną gwarancję „swobodnego wypoczynku" władcy.

Ostatecznie margrabia Wielopolski otrzymywał na dzień przed przyjazdem tajną wiadomość o dokładnym terminie nadejścia specjalnego pociągu do stacji Jeleń.

Przystanek Jeleń..

„Około godz. 3.00 w nocy 150 furmanek włościańskich wyprawia się do Jelenia dla wyładowania pociągu z bagażem i nowym zastępem służby dworskiej oraz nowej „ochrany".

„Drugim pociągiem dworskim do stacji Jelenia przybywa nareszcie sam pan — cesarz Aleksander III, ze swą rodziną, świtą i najbliższym otoczeniem dworskim".

Po uroczystym powitaniu przez margrabiego Wielopolskiego oraz towarzyszących mu urzędników Aleksander III odpoczywał.

„Nie zapraszał tu nigdy obcych monarchów, książąt i dygnitarzy, chciał być tu w dezabilu, nie krępowany żadną formą dworską".

Głównym celem pobytu cesarza i dworu w Spale było polowanie i wypoczynek. *„Wszyscy wstawali dość wcześnie. Służba już o 5.00 z rana krzątać się była zmuszona, aby wszystko na czas było gotowe... Regularnie o godzinie w pół do ósmej z rana, sześciu waltkornistów w myśliwskich strojach przybywało odegrać z czterech stron pałacu pobudki myśliwskie... Po śniadaniu (złożonym zazwyczaj z herbaty lub kawy, ciasta, jajek na miękko i szynki) całe towarzystwo w szaraczkowych myśliwskich strojach udawało się na podwórzec, gdzie czekały już powozy z zbroją i ładunkami. Cesarz z cesarzową zwykle wyjeżdżali własnym parokonnym brekiem.*

„Knieja prześliczna, a w niej linie przecięte; na tych liniach co kroków kilkadziesiąt wytknięte i poznaczone są stanowiska, każde z nich otoczone rodzajem niskiego, półokrągłego parawanika, z ciętych równo jałowców... Od trzeciej lub czwartej rano dwie obławy z chłopów po 300 lub 400 ludzi otaczają, każda oddzielny obręb lasu na przestrzeni kilkunastu wiorst...".

Zbliżają się myśliwi, *„prowadzą dostojnych panów na stanowiska, a każdemu z nich towarzyszy dwóch jegrów podających broń i ładunki".*

Trąbka zagrała. Obława rusza.

Wypłoszone z miejsc jelenie, sarny i dziki ruszają stadami. Pada kilka sztuk „grubego zwierza", kilkadziesiąt zajęcy i lisów. O godzinie 14.00 śniadanie w lesie. Potem znów na stanowisku. I tak do godziny 16.00. Po zakończonym polowaniu dwór odpoczywał. Dla służby były to godziny największej krzątaniny. Pod wieczór bowiem do Spały zjeżdżali zaproszeni goście oraz dęta orkiestra wojskowa z Tomaszowa, która przygrywała w czasie codziennego wieczornego posiłku (zakąski, zupy, mięsa z dodatkami, wykwintne ryby, pieczyste, owoce i lody). Pod koniec obiadu oświetlano rzęsiście gazon, na którym układano dekoracyjnie ubitą zwierzynę, po czym towarzystwo całe oglądało wyniki łowów, kontemplując i dyskutując nad celnością strzałów i umiejętnościami myśliwych.

W późnych godzinach nocnych dwór zasypiał. O tej porze w okolicznych wsiach ściągano już chłopów z łóżek na stanowiska w obławie, na dzień następny. Wielotygodniowy wysiłek okolicznej ludności Aleksander III „nagradzał" łaskawym zezwoleniem na ludową zabawę, dając chłopom „szczęście widzieć się z bliska". Zabawy or-

ganizowano pod gołym niebem, na łące nadpilickiej. Rozstawiano tu stoły przykryte dworskimi obrusami, ustawiano półmiski z szynką, serem, piernikami i jabłkami. Obok nich umieszczano beczułki z wódką. Zawczasu przywożono kilkaset barwnych chustek z Warszawy lub Łodzi, przeznaczonych na podarunki dla tanecznic wiejskich. Sprowadzano też zwykle orkiestrę składającą się z instrumentów dętych.

„Raz jeden tj. podczas polowania w r. 1882 sprowadzono nawet na taką uroczystość, aż z Kielc umyślnie, całą orkiestrę chłopską dyrygowaną przez Namysłowskiego. Była to orkiestra rzeczywiście doskonała i przynosząca chlubę dyrygentowi, który choć syn szlachecki, nie powstydził się w zakątku swoim rodzinnym, gdzieś w okolicy Zamościa, zebrać młodzież chłopską, zachęcić do muzyki i utworzyć z niej komplet artystycznie wykonywający nie tylko mazurki, polki i oberki, ale też poważniejsze orkiestrowe utwory muzyczne".

Kiedy byli „goście cesarscy" zaproszeni na ludową zabawę?

„Już na parę dni przed zabawą w urzędach leśnych, ale pod kontrolą niezbędnej tu zawsze policji, formowano listy par tańczyć mających na zabawie, oraz ludku okolicznego mogącego być dopuszczonym na nią do Spały. Ograniczano się zwykle na dostawienie tym sposobem około 200 par dorodnych, którym towarzyszyć mogli rodzice lub ktoś z krewnych. Tworzyła się gromada kilkuset osób, tej polecano przywdziać strój odświętny, a w dzień oznaczony, koło południa zebrać się w urzędzie, aby znowu pod kontrolą policyjną i po sprawdzeniu tożsamości, wyprawić na godzinę oznaczoną do Spały. Nad wszystkimi — jak zawsze — czuwała „ochrana".

W czasie trwającej zabawy z tłumem mieszali się również „dostoj-

ni panowie", którzy kontynuowali polowanie na co dorodniejsze dziewczęta. Punktem kulminacyjnym było pojawienie się Aleksandra III ze świtą. Orkiestra intonowała „Boże cara chrani", którego słuchano „z należytym uszanowaniem" w postawie stojącej i z odkrytymi głowami. Car także zdejmował swój myśliwski kołpaczek. Potem częstował trunkami, sam próbował piwa i zachęcał do tańca, dostojnicy zaś jego kręcili się tu i ówdzie na swoją rękę znowu zagadując tancerzy, choć częściej może tancerki".

Bawiono się do późnego zmierzchu.

Łowy cesarskie w Spale trwały dwa do trzech tygodni. Termin wyjazdu oznaczano niespodziewanie. Zwykle dwór cały wracał drogą przez Jeleń, Iwangród i Brześć Litewski, Warszawę omijano starannie; była ona od czasu powstania styczniowego w niełasce u cara. Ostatnie jesienne spalskie łowy Aleksandra III odbyły się w roku 1894, na kilka tygodni przed jego śmiercią.

Spała, a zwłaszcza okoliczni chłopi i służba leśna na szereg lat odetchnęli od wyczerpujących „rozrywek cesarskich", bowiem następca tronu Mikołaj II nie przejawiał upodobań myśliwskich.

Na podstawie relacji pamiętnikarskich oprac. A. B.

Rys. A. Grun

ZYGMUNT FIJAS

Z ZEM NA KUCHNIE

Jeden z naszych najwybitniejszych poetów powiedział o jednym z naszych najwybitniejszych prozaików: jednym z naszych najwybitniejszych, moim skromnym zdaniem, mimo to, że jego nazwisko nie figuruje w wydanym w NRD w roku bieżącym — skorowidzu światowych pisarzy „Lexikon der Weltliteratur"; powiedział z tajemniczym uśmieszkiem: — On przecież gotował za nią (za swą żonę) potrawy.

Takich, co gotowali z musu lub z namiętności, było więcej. Należał do nich aktor Walter, Ludwik XII, kardynał Armand du Plessis de Richelieu, kardynał Mazzarini, francuski minister finansów Colbert. Ba! wielki moralista francuski Michał Montaigne musiał się też parać kuchnią, skoro napisał książkę „Wiedza o jedzeniu". Baaa! biblijny Ezaw nie na próżno występuje w Piśmie Starego Testamentu z miską soczewicy. Musiała to być bardzo pikantnie przyrządzona soczewica, skoro można było za nią przehandlować pierworództwo.

Nie jestem kardynałem Mazzarinim, ani ministrem finansów! Ale muszę się przyznać z ręką na sercu, że bywałem autorem niejednej potrawy, raz nawet, zapewne przypadkowo — baraniny ze smardzami, która w pierwszym etapie smażenia przypominała zapachem końską uryne lub, — jak kto woli, i kto je zna — trufle; a w następnym, kiedy zapachy baraniny i smardzów skomponowały się — napełniła swym pięknym waporem kuchenkę tak dostojnie, że jedna ze znajomych pań, oświadczyła, iż tak cudnie woniejącej baraniny nie wąchała, jak żyje; a pani ta jest zawołaną gospodynią po specjalnej szkole — i nosek ma bardzo wrażliwy na subtelne kuchenne wonie, już nie mówiąc o czułości podniebienia.

Już pierwsza babka piaskowa uformowana przez wyżej podpisanego z piasku dunajcowego i dunajcowej wody, nie miała do siebie podobnych: zawierała tę samą górską H_2O, która piwosze angielscy i amerykańscy oraz radzieccy wyczuwają w wybornym eksportowym piwie żywieckim i okocimskim, które zapewne pojawi się w lokalach kategorii „S" przed świętami i w Łodzi; trzymała się (ta babka piaskowa) lepiej — i dłużej — niż dzisiejsze tak zwane babki piaskowe, pachnące sztucznymi olejkami i sodą oczyszczoną, a sprzedawane po cenach wcale nie stojących w godziwym stosunku do wartości i jakości ciasta.

Ciasta, o którym Janette, czy jak jej tam na imię, Campbell, autorka wybornej pracy humorystycznej pt. „Jajko i ja", powiada, że powinno być takie lekkie, żeby go inaczej nie można było jeść, jak — podając je do ust obiema rękami. Bo domyślne: podawane do ust jedną ręką, rozsypałoby się jak puch lub rój baniek mydlanych. Ciasta, o którym nieoceniony — prawdziwa skarbnica obyczajów dawnej Polski — Jędrzej Kitowicz powiada: „Dziś pączek jest tak lekki i pulchny, że ścisnąwszy go w rękach, znowu rozciąga się i pęcznieje jak gąbka do swojej objętości, a wiatr zdmuchnąłby go z półmiska. Natomiast trafiony staroświeckim pączkiem w oko, mógłby je podsinić".

Zapewne w produkcji uspołecznionej pączków zbliżamy się do czasów staroświeckich, bo dzisiejszy pączek, zwłaszcza kupowany w barze mlecznym, przypomina niekiedy bułkę razową lub brykiet, albo balon z pianki polistyrenowej nie do zżucia; czasem klej do zlepiania porcelany, piłeczkę tenisową; surowiec do wyrobu damskich cielistych kaloszy — albo podpórkę pod nogi fortepianu do amortyzowania wstrząsów, jakim ten instrument podlega, gdy traktowany jest jako przyrząd perkusyjny. Pewnym pączkiem zakalcowatym, kupionym swego czasu w mleczarni, mógłbym wyprawić na drugi, zwierzęcy świat nową hipopotamicę Lusię — już nie mówiąc o tym, że można by — człowieka nim zabić.

Ale wracając do naszej wstępnej chwalby — to znamy się nieco na przyrządzaniu potraw. Wiemy jak się faszeruje suszony pęcherz rekina, który w chińskiej restauracji „Szanghaj" nosi nazwę „Ha-Sio-Ju-Tu", a być może jest zwyczajną świńską macherzyną, nadziewaną krajowym drobiem z chłodni. Wiemy, jak się przygotowuje jajka na danie na niebiesko: że zakopuje się ten nabiał w glinie i trzyma w niej przez trzy miesiące, aż się odpowiednio znekrotyzuje. Wiemy, jak się przyrządza kaczki po chińsku — na zielono lub kolor ultramaryny.

Wiemy też, jak się powinno wzorowo zaparzać herbatę: że listki herbaciane dobrze jest parzyć wodą ze stopniałego śniegu, a jeszcze lepiej herbata się udaje, jeśli się odmawia pacierek w czasie parzenia — albo wygłasza odpowiednio wybrane wersety z pism Konfucjusza lub Li-Taj-po.

Mógłbym wam opowiedzieć, co poeta i tłumacz, Zbigniew Stolarek, mówił o sposobach przyrządzania psiego pieczystego

(Dalszy ciąg na str. 6)

HELENA DUNINÓWNA

„Kompozytor Czarowny"

O tej szkatułce wspominałam już nieraz. To była szkatułka mojej matki. Nieduża, z jasnego drzewa, z misternymi srebrnymi okuciami na rogach, z lusterkiem, zupełnie już prawie zmętniałym na wewnętrznej stronie wieczka, wysłana ciemnozielonym, wytartym i spełzłym już aksamitem. Chowała w niej mama różne, z różnych pochodzące czasów pamiątki, drobiazgi miłe najwidoczniej sercu i przypominające ten czy ów skrawek życia.

Pamiętam nieźle całą zawartość szkatułki, ale dzisiaj przypomina mi się przede wszystkim pewien mały, płaski pakiecik — w cienką bibułkę zawiniętych kilka niedużych czworokątnych kartoników jednakowej wielkości, na których wydrukowane były jakieś muzyczne takty.

Były to szczątki ulubionej przez mamę zabawki, gry dziecięcej czy loteryjki, którą — jako bardzo muzykalne dziecko — mając lat sześć czy siedem, dostała kiedyś na Gwiazdkę.

Zabawka nazywała się ślicznie: „Kompozytor Czarowny", a z całej, dużej ilości takich tabliczek z poszczególnymi taktami, można było układać „niezliczoną ilość poleczek i walczyków", jak głosił zachowany również strzępek objaśniającej ową „muzyczną grę" karteczki.

Jakże pragnęłam zawsze, jako nieduża jeszcze dziewczynka, znająca już oczywiście nuty, ułożyć z tych pozostałych kartoników jakąś melodyjkę! I jak martwiłam się, że nie udało mi się to nigdy: nie pasowały do siebie, wyrwane z całości, przypadkiem jakimś, na chybił-trafił, ocalałe.

Nie wiem, czy nie te właśnie, ciekawymi oczami dziecka pochłaniane, a zawsze z uśmiechem wzruszenia pokazywane mi „gwiazdkowe pamiąteczki" mojej mamy, zasugerowały moją myśl, moją wyobraźnię — urzekającą mnie przez całe życie magią przeszłości. Cóż, gdyby nie rok 1944 — miałyby dzisiaj pełne sto lat istnienia!...

* * *

Gwiazdkowe wystawy sklepów były w owych dawnych latach wysoce, na modłę tamtych oczywiście czasów, atrakcyjne. Z zachwytem słuchałam opowieści mamy o wystawach warszawskich magazynów, jakie zapamiętała jeszcze z lat swego dzieciństwa i wczesnej młodości.

Więc, na przykład, cukiernie: całe okna pełne bombonierek, najczęściej w kształcie skrzynek, kuferków, szkatułek. Niektóre, modne bardzo, w tzw. „guście tureckim", przybrane, niby wytworne fezy, długimi, jedwabnymi chwastami; inne — bogato malowane, przyozdobione medalionami, imitacją kości słoniowej, obciągnięte marszczonym atłasem lub aksamitem. Wszystkie — przesycone mocnymi zapachami fiołków, róż, heliotropów. Na wierzchu, w zależności od ceny, udekorowane to kwiatem sztucznym, to jedwabnym fontaziem, to liściem złotym czy srebrnym, a nawet czasem i biżuterią — oczywiście sztuczną. Jakżeż nie zachwycić się opisem błękitnej atłasowej bombonierki z misternie na wieczku przyczepioną „złotą" bransoletą w kształcie węża?...

Sztuczna biżuteria była wówczas, jak mówiła mi mama, bardzo modna. Słynny Wernitz na Krakowskim Przedmieściu na swej przedświątecznej, gwiazdkowej wystawie pokazywał co roku istne cuda. Brosze, bransolety, kolczyki, pierścionki — błyszczące, kolorowe, palące się tysiącem ogni — wiadomo, nieprawdziwe, a przecież jakby najzupełniej prawdziwe! I co za szpile do kapeluszy — długie, fantazyjne, paradne! Co za grzebienie do podtrzymania fryzur, do upięcia loków! Kość słoniowa? Szylkret? Złoto? Głęboko osadzone perły? Korale? Bursztyn? Gdzie tam! Imitacja, najświetniejsza paryska imitacja prawdziwych klejnotów!

A fryzjersko - perukarskie zakłady ze swoimi puszeczkami, słoikami, puzderkami? Ozdobne, wyzłacane, z kokardkami — pudełeczka przeróżnych kosmetyków: „Crème de Beauté" — „Blanc de la Reine" — „Rouge de Dames"...

A ów, niezrównany w swej pomysłowości, przy ul. Miodowej papeteryjno - galanteryjny magazyn Bednawskiego!

Przez całe dzieciństwo marzyłam o takim właśnie listowym papierze, jaki kiedyś na Gwiazdkę dostała moja mama, jako młoda panienka: bladoróżowe arkusiki ze srebrną, koronkową, jakby „bordiurką"; na każdym — wycisk jednego dnia tygodnia — poniedziałek, wtorek, środa...

* * *

Przed oknami naszego domu, szeroko rozkładał się wielki, pusty, ośnieżony, ciszą gwiazdkowego wieczoru osnuty — Plac Saski. Nie było na nim jeszcze wówczas potężnego soboru, nie błyskały złote blachy cerkiewnych kopuł i nie bodła nieba wysoka, zanosząca się od huku dzwonów dzwonnica. Cicho było i pusto.

Z trzech wysokich okien naszego salonu padały w tę pustkę i ciszę smugi światła; przedzierały się przez szczelnie dopasowane szyby dźwięki śpiewanych kolęd i pamiętam, jak co roku — nagle i cudownie — wdzierała się do ciepłego, nagrzanego wnętrza fala mroźnego powietrza, gdy otwierano na całą szerz okno, by przestudzić gęsty opar stężonych jakby nieruchomych zapachów: woni palących się choinkowych świeczek, tlącego się gdzieniegdzie igliwia i kropelek lepkiej, ciepłej żywicy. Otaczaliśmy wszyscy — dorośli i dzieci — skrzącą się od błyskotek choinkę i, trzymając się za ręce, okrążaliśmy ją posuwistym krokiem, śpiewając kolędy...

My, dzieci, z trzepoczącym sercem czekaliśmy na jeszcze jeden moment. Ten, w którym nagle otworzą się pchnięte w pośpiechu drzwi i przejęta ważnością chwili wpadnie do salonu, służąca u nas Zosia czy Marysia.

— Chłopcy z szopką przyszli, proszę pani! Są w kuchni! Chłopcy z szopką!

* * *

Jest niezbyt od Warszawy daleko, za stacją Mińsk Mazowiecki, przy szosie Kołbielskiej, wieś Rudzienko, a w niej przepiękny, stary, modrzewiowy dwór. Zaliczany obecnie do rzędu najpiękniejszych zabytków budownictwa drewnianego w okolicach Warszawy typu klasycystycznego, o charakterze wybitnie polskim, zachował się bez wielkich przekształceń. Ten modrzewiowy zabytkowy dwór, w którym dziś mieści się szkoła, był ongiś moim drugim domem. Mieszkaliśmy w Warszawie, ale w Rudzienku, które należało do naszych przyjaciół, od dzieciństwa miałam swój własny pokoik. W Rudzienku witałam co roku wiosnę, nieraz spędzałam lato i w Rudzienku — jakże często — obchodziliśmy uroczyste święta.

Mam już szesnaście lat. Jestem sama w owym wielkim, kolumnami przedzielonym salonie. Ubieram stojącą pośrodku choinkę. Świeżo przywieziona z lasu, prosta, wysoka, gęsta i smukła, oddycha jeszcze mrozem, kryje w sobie jeszcze srebrzystą osędziałość szronu. Pachnie mocno cierpką wonią igieł i lepkim zapachem żywicy. Obok mnie, na podłodze, kosze ze świecidełkami, wysoka pokojowa drabinka. Śpieszę się, chcę wystroić to piękne, dorodne drzewo zanim wrócą z tradycyjnego wigilijnego polowania panowie, a panie skończą swe zajęcia w kredensie i kuchni.

Przed gankiem skrzyp sani, parskanie rażne koni, głośne nawoływania. Tupią o kamienne schody czyjeś nogi, otrząsając śnieg z wysokich butów. Zaroiło się w wielkiej, półkolistej sieni od ośnieżonych bekiesz i parujących w cieple kożuszków. Na rozłożystych rogach jelenich, na głowie dzika, wyrastającej tuż ponad drzwi do jadalni wiodących, zawisły wilgotne czapy. U drzwi wejściowych leżą całe snopy powiązanych za nogi zajęcy. W jadalni czeka białym obrusem na pachnącym sianku zasłany stół...

A potem stoczkiem osadzonym na długim kiju zapalam na choince świeczki. Ktoś uderza w klawisze fortepianu. Zbierają się wszyscy: goście, domownicy, służba. Z dolnych gałęzi choinki obrywam jabłka, złocone orzechy i pokraczne piernikowe figurki, rzucam w nadstawione ręce, w rozłożone fartuchy. Śpiewamy wszyscy, niezbyt strojnym co prawda, ale za to głośno rozbrzmiewającym chórem... I jeszcze — chłopcy z „Gwiazdą" i wyklejona przez nich z kartonu Betleemska stajenka ze żłobkiem i małym Jezusikiem na sianku. Trzymają ją, śpiewając, w wyciągniętych rękach. Już ich nie ma: zacząwszy od dworu, idą w swoją okrężną po całej wsi, wigilijną wędrówkę.

Jakże dobrze pamiętam wielkie, nanesione przez nich do myśliwskiej sieni pacyny śniegu, jak dobrze widzę rozpływające się po chwili cienkie, brudne strużki mętnej wody.

* * *

Na naszym stole nie ma prawie nic. Jest biały obrus, to prawda, są talerzyki i szklanki, noże i widelce — ale na podłużnym półmisku leży tylko garść wędzonych, małych, wyschniętych, wióry przypominających szprotów. W karafce — woda; na drewnianym talerzu — sypiący się, w okruchach otrzymywany, szary, ościsty chleb. W wazoniku na środku stołu — mała, chuda, na ulicy znaleziona — gałązka choiny. Za oknem — mróz. Okno jest niskie, duże, parterowe i trochę straszno wyglądają ciągnące się za nim szerokie, puste, ośnieżone bulwary.

Jest rok 1917. Moskwa.

Od południa już jest niemal ciemno. Gęste, żółtawe, ciężkie chmury wiszą nisko, tuż nad dachami domów. Po nocy, skrzypiącej od nadmiernego mrozu — późno budzi się ospały, niechętny poranek, a dzień — ledwie się zdoła rozwidnić — spada od razu, nagle, nieoczekiwanie w głęboką otchłań mroku.

Siedzimy przy naszej wigilijnej wieczerzy, milcząc. Opustoszało jedno miejsce przy naszym małym stole.

Zimowa, olbrzymia cisza leży dokoła. Ruch na ulicach zamarł. Latarnie gasną. Nie wzeszła na ołowianym niebie ani jedna gwiazda.

* * *

A potem? Złe i dobre, pogodne i na przemian niewesołe — jedne za drugimi przewijają się w pamięci, coraz bliższe dniu dzisiejszemu, gwiazdkowe wieczory. Nie tak jednak żywe, nie tak sugestywne — jak tamte. Rozsypują się we wspomnieniach, zacierają, gubią. Jedne z drugimi mieszają się bezładnie, zatracają kontury, tworzą prawdziwy chaos. Błąkają się beznadziejnie wśród rozlicznych fragmentów długiego, ubiegłego życia. Nie sposób powiązać wszystkiego, ułożyć, porządnie uszeregować. To coś tak, jak z owymi kartonikami z dawnej dziecinnej gry mojej matki.

Rozproszone, pogubione, różnorakie, pomieszane w najdziwaczniejszy sposób, nie pasujące do siebie, poplątane — mogłyby przecież, gdyby się kiedyś udało było odnaleźć je wszystkie i dopasować odpowiednio — ułożyć się w jedną harmonijną, konsekwentną całość. Z pojedynczych, urywanych taktów — związałaby się może jakaś zrozumiała, pełna treści melodia.

Tak, jak tego uczył „Kompozytor Czarowny".

MIKRO-PORTRETY Odgłosów

Tadeusz Minc

Już po raz drugi T. Minc odnosi sukces na Spotkaniach Warszawskich, będących festiwalem najlepszych i najambitniejszych spektakli roku. „Sen srebrny Salomei" krytyka łódzka i stołeczna przyjęły z pełnym uznaniem, podobnie jak poprzednie sztuki jego reżyserii: „Lekcje" i „Szaleństwo we dwoje" — Ionesco, „Henryka IV" Luigi Pirandello, czy „Dobrego człowieka z Seczuanu" — Bertolta Brechta.

Minc jest reżyserem młodym, dynamicznym, pełnym zaskakujących pomysłów. Wydawać się może, że teatr — to jego pasja.

Otóż, nie! Twierdzi, że gdyby mógł zacząć wszystko od początku — zostałby naukowcem. Filologia — druki z XV—XVI wieku, język pokryty kurzem stuleci, okładziny stare, zmurszałe... To dla Minca jest najpiękniejsze — tajemnicze, pełne zaskakujących zagadek. Zna na pamięć „Legendę o świętym Aleksym", wiele wierszowanych utworów Reya, fragmenty komedii rybałtowskich...

Jest bardzo zapracowany. Wypija mnóstwo kawy i wypala niezliczoną ilość papierosów. Z prób wraca często nad ranem i wtedy — jak twierdzi — gosposia patrzy na niego zezem. Więc zaczyna się tłumaczyć. A ona:

— Co mi pan głupstwa opowiada! Mam swoje sześćdziesiąt lat i wiem jak takie próby wyglądają...

Największym marzeniem artystycznym — wystawić Bablowski „Zmierzch" z Ludwikiem Benoit w roli Mendla Krzyka.

Andrzej Saciuk

Ukończył Wydział Aktorski w łódzkiej PWSTiF. Nie jest wielkim aktorem. Jest za to wielkim śpiewakiem.

W czasie ostatnich występów w Nicei, prasa francuska pisała:

„Bas polski, Andrzej Saciuk, ma w tym rejestrze wszystkie walory głosów słowiańskich. Jego artyzm, tak jak u wielkiego Szaliapina, najpełniej uwidocznił się w rondzie o Złotym Cielcu i w scenie kościelnej — „L'Espoir".

„Andrzej Saciuk z Opery Łódzkiej zaprezentował Mefista pełnokrwistego, o głosie potężnym i wszechogarniającym. Rondo i serenada były znakomite i widownia przyjęła je ze spontanicznym entuzjazmem" — „Nice Matin".

Takich recenzji zebrał Saciuk znacznie więcej. Jedna z nich ukazała się w najpoważniejszym czasopiśmie operowym świata: „Revue de Opera".

10 grudnia, w parę zaledwie godzin po powrocie z Francji, pan Andrzej dzieli się z reporterem dramatycznym przeżyciem na nicejskiej scenie:

„Był to mój ostatni występ. Spektakl przebiegał bez zakłóceń. Wreszcie nadszedł moment, w którym ja, Mefisto, wymawiam zaklęcie i pęka szpada w rękach Walentego. Miałem na sobie długi, szesnastumetrowy płaszcz z ciężkiego aksamitu, ozdobiony złotą lamą. Zrobiłem obrót i połą płaszcza zawadziłem o przełamaną szpadę. Wtedy... zdobne, ostre jak sztylet żelastwo wyprysło Walentemu z ręki i poszybowało przez scenę, do orkiestronu; tam przebiło na wylot waltornię. Na myśl, że mogło trafić w muzyka, zrobiło mi się słabo i minęło kilka długich minut zanim doszedłem do siebie..."

Andrzej Saciuk często wyjeżdża za granicę i wszystko wskazuje na to, że wyjeżdżać będzie jeszcze częściej. Mówi jednak, że najmilsze są chwile powrotów. Do żony, do dzieci, których ma czworo, i do Łódzkiej Opery.

Nasz Teatr Wielki — jeśli wierzyć Saciukowi — ma najwspanialszą salę w Europie. Jeśli mu wierzyć — ma także szansę na zrobienie światowej kariery.

ZEZEM NA KUCHNIE

przez synów Niebieskiego Państwa albo o móżdżku małpy. Ale po co wam psuć apetyt?

Wolałbym opowiedzieć jak przyrządza się za Pirenejami „zupę biednego rycerza", o której czytaliśmy w „Ty i Ja"; albo podać przepis na przyrządzenie hiszpańskiego dania „olla podrida". Dania, za którym przepadał władca hiszpański Filip, jak nam o tym mówi Bruno Frank, autor powieści „Cervantes" i opowiadania „O człowieku, który ważył dusze".

Do tych postnych potraw mogę wam polecić kurę perłową, wywodzącą się z Numidii. Ta numidyjska kura to nasza zwyczajna krajowa pantarka, czyli perliczka, czyli afrykanka, tak rzadko ukazująca się w sprzedaży publicznej — jak miętus lub sum, o których to rybach wiadomo, że gdzieś są — i ktoś je zjada, ale nie wiadomo kto. Tu z ręką na sercu powiem, że ostatni i pierwszy raz jadłem suma wraz z Andrzejewskim w roku 1945, a może sześć, w czasie powrotu z byłego majątku Morstina (Ludwika). I chętnie odświeżyłbym sobie smak tej ryby. I wielu amatorów ryb — też!

Na inne postne danie mogę wam polecić przysmak rzymski „garum". Rzymską pastę rybną, przyrządzaną na bazie wnętrzności makreli, poddanych maceracji, fermentacji, a zatem nadgniciu, a potem przeduszonych przez sito. Podobnie preparuje się we Wschodniej Azji i Ameryce ryby. Wiesza się je u szczytu wigwamu lub jurty, żeby dobrze zaśmierdły; a jak zaczuchną, to wtedy smakują jak stara bryndza ze śledziem lub kwargle w sosie śledziowym.

Jeszcze jedno danie rybne — wszak wnet rozpoczną się saturnalia, biesiady, im więcej dań, tym większa uciecha! możecie otrzymać — wątrobę węgorzowatej ryby murena, o której Sienkiewicz pisał w „Quo vadis", że Neron karmił je ludzkim mięsem. Ale to nie musi być prawdą, bo autor „Trylogii" był katolikiem wojującym częstochowskiego typu, obrzucił Nerona błotem za dziejopisem rzymskim Tacytem, który według historyków przenosił okropieństwa czasów Domicjana, w których żył i pisał, na czasy, w których żyli jego przodkowie.

Ale mierzi was kuchnia chińska, grecka, meksykańska, hiszpańska, nie jesteście jeszcze źle usposobieni do rzymskiej, proszę, oto załączam wam przepis na świąteczną biesiadę, zaczerpnięty z „Uczty Trymalchiona":

„Po ogólnym poklasku nastąpiło danie, któregośmy wcale nie oczekiwali. Jednak nowość jego zwróciła na nie oczy wszystkich. Okrągła bowiem taca mieściła dwanaście znaków niebieskich, rozłożonych w kolejnym porządku, a wynalazca ułożył na każdym właściwą mu i odpowiednią potrawę: na Baranie cieciorkę, czyli samicę ciętrzewia w kształcie głowy baraniej, na Byku kawał wołowiny, na Bliźniętach nerki, na Raku — wieniec, na Lwie figę afrykańską, na Pannie przysmak z młodej maciorki, na Wadze rzeczywistą wagę, która na jednej szali dźwigała ciepły placek, na drugiej inne ciasto; na Niedźwiadku rybę morską, na Strzelcu zająca, na Koziorożcu langustę, na Wodniku gęś, na Rybach dwa bolenie. Na środku była świeżo skoszona murawa, a na niej plaster miodu".

Jeśli kuchnia obca wam nie dogadza, to może sięgniemy do polskich wzorów.

Oto urywek wiersza Wespazjana Kochowskiego:

„Dobry kapłon na gody albo mięsopusty,
Schab karmnego wieprza tłusty.
Nie odrzucę wołowej pieczeni
Lub skopowej — w jesieni.
Lub z sałatą cielęcina, lub na powtórki
Przy sałacie i ogórki".

Do tych mięsnych dań bardzo będzie pasować gęś na czarno po staropolsku, ale trzeba się modlić o jej udanie jak Benvenuto Cellini podczas wlewania brązu w formę posągu Perseusza. A więc trzeba gęś oprawić, spalić wiechęć słomy na węgiel, zmieszać ten węgiel z łyżką miodu oraz z imbirem, pieprzem, wlać do tej mieszaniny siarczystego octu, zmieszać, nacierać tą ingrediencją skórkę gęsi i upiec w piekarniku. A potem polaszować ptaka jak polędwicę na czarno po cygańsku.

Kasza z grzankami bardzo do tego pasuje. Oraz fragment wiersza Mikołaja Reya z Nagłowic:

„Przy kominku z grzanką kasza
to rodzona ciotka nasza!"

Jeśli wam będzie smakować gęś na czarno, to zapewne nie pogardzicie „Pasztetem z kurcząt lub młodych indycząt" z „Kuchni litewskiej": „Wziąć 6—7 oprawionych dobrze indycząt, dniem wprzód porżniętych, aby skruszały, włożyć do rondla, z pół funtem masła, cytryna pokrajana w talerzyki, szczypta muszkatowej gałki, sola, parą bobkowymi liśćmi, para cebul szpikowanych goździkami, wiązką zielonej pietruszki i

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Między Nowym Miastem a Rawą Mazowiecką, w Kolonii Łęgonice, na zboczu niewielkiej górki, kilka zaledwie metrów od zabytkowego kościółka, któremu patronuje święty Roch i który czynny jest tylko raz do roku, szesnastego sierpnia, w czasie rochowego odpustu — zaludnia się wówczas smutna okolica: furmanki zjeżdżają z całego powiatu na kazanie księdza dobrodzieja, potem rżnie muzyczka, wiruje tarcza cukierkowej loterii, chłop do chłopa z flaszki przepija, a w pobliskim lasku dokazują młodzi i szmerają pocałunki.

— No więc obok opuszczonego kościółka wystaje o metr spod ziemi najmniejsza chatka w świecie: dach słomiany, pokryty darniną, teraz, na jesieni, przysypany zeschłym liściem, że ledwo go odróżnić od łąk szarych i jałowych; a w zimie — powiadają ludzie — jak śnieg gęsty spadnie z nieba — to wcale dachu nie widać, chyba że dymek puści ukradkiem ze starej, okopconej rury, co spełnia rolę komina.

A w chatce najmniejszej na świecie....

Nie mówię, że dużo w życiu widziałem, ale ten człowiek, wyjęty z innej epoki, z ponurej bajki dla dorosłych dzieci, musiałby chyba zadziwić każdego. No bo, pomyśl sobie, kończy się dwudziesty wiek, tylko patrzeć jak ludzie wylądują na Księżycu — a tu, w samym środku Europy, w samym niemal środku Polski — mieszka pustelnik. Najprawdziwszy z prawdziwych.

1.

Drzwi. Maleńkie, zbite nieudolnie z desek. Zgiąć się porządnie należy, aby wejść do środka, ale w tym pokłonie, oddanym bezwiednie, streszcza się mój pierwszy hołd dla samotnika. Przedsionek z gliniastą podłogą, parę wiązek drewna na opał, i wreszcie... izba nie izba? — celka nie — celka? — dwa kroki zrobić trudno, ba: jednego też swobodnie nie wykonasz; a okno w tej chatce — niby okładka z niedużej i szarej książki (jako że niebo akurat zaciągnęły chmury).

Na próżno szukać tutaj śladów cywilizacji. Zamiast krzesła — pniak nie otesany, podobny do grzyba. Na łożu o dziwacznych kształtach, wymoszczonym potarganą słomą, przykrytym gdzieniegdzie strzępami brudnej odzieży — siedzi starzec. Broda — jak sam mówi — nie strzyżona od czterdziestu lat, poskręcana w pierścionki. Czarne, drapieżne paznokcie i łagodne wejrzenie wyblakłych oczu. Mowa — ludzka nie ludzka, wiele czasu trzeba, żeby sens wyłowić z mieszaniny gwar i dialektów, które na niej ciążą... W każdym razie — starzec twierdzi, że...

2.

Urodził się w 1896 roku we wsi Falki Stare, koło Białej Podlaskiej. Nazywa się Ignacy Piotrowski i młodość spędził na pasaniu bydła. Ojciec Ignacego, pijaczyna zatracona, marzył, żeby wykierować latorośl na księdza, ale u chłopaka z głową nie było w porządku, nie umiał powtórzyć religijnej opowiastki, którą dał mu do przeczytania kresowy kapucyn. Odtąd — Ignac był w domu za głupiego Jasia. Trzech braci pożeniło się szybko, siostra też do ołtarza poszła, a on ciągle za krówkami chadzał uśmiechając się łagodnie i słodko...

Niepodobna dokładnie ustalić, kiedy Ignac zaczął wędrować po jarmarkach i odpustach. W każdym razie: skoro tylko zaczął — odkrył w tym swoje najwłaściwsze powołanie, nauczył się pieśni dziadowych o złych królach i roztropnych chłopach, kilku legend tajemniczych, na poły religijnych i podszytych czarami; chodził od wioski do wioski, od miasteczka do miasteczka, bajał ludziom i zabawiał ich śpiewkami, nędzne datki do czapki zbierając; sypiał gdzie popadło: raz w polu szczerym, to znów w lasach wilgotnych i ciemnych,

Zasadniczy zwrot w życiu Ignacego — to już wiadomo na pewno — miał miejsce w 1935 roku. Opuścił wówczas rodzinną wioskę i udał się w pieszą wędrówkę do Częstochowy Najjaśniejszej Panience złożyć pokłon. Po drodze donieśli mu ludzie, że niedaleko Rawy Mazowieckiej mieszka pustelnik, niejaki Walenty Majcher. Prawdę mówiąc: Ignacy bardziej był ciekaw Walentego Majchra, niż cudów Jasnej Góry, toteż zboczył trochę z drogi i któregoś wieczoru zima to było, stanął przed nędznym szałasem.

Pustelnik wpuścił wędrowca do środka, zjedli po dwa surowe kartofle, popili wodą, Majcher wyczuł w przybyłym bratnią duszę i opowiedział mu swoje życie: To było tak:

Jednej nocy przyśniła się Majchrowi drabina, która — jak wiadomo — jest symbolem różańca. Majcher wspinał się szczebel po szczeblu, coraz wyżej i wyżej, aż za chmury, i nagle niebo zobaczył — chór niebieski i świętą Panienkę.

Panienka powiedziała:

Rys. A. Grun

— Ty, Majcher, wyrzeknij się ziemskiego życia. Idź do samotni i pokutuj za grzechy.

Następnego dnia Majcher spakował niewielki tobołek, pożegnał żonę i dzieci, i udał się w drogę do Łęgonic, żeby ślubów Panience dotrzymać.

Ignacy wysłuchał grzecznie opowieści, ale miał w zanadrzu niespodziankę i kiedy tylko Majcher dopuścił go do głosu, zaśpiewał pieśń o pustelniku:

„Dawniej święta powieść niesie
o pustelniku
I samotnie był gdzieś w lesie
w ciasnym kąciku
Ile razy dzień zaświtał
Zawsze Matkę Boską witał
Zdrowaś Maryja...
Ładne ptaszę wraz z nim żyło
w tej chatce jego
i tak pięknie się uczyło
śpiewu wdzięcznego
A gdy on Maryje wzywał
za nim ptaszek ładnie śpiewał
Zdrowaś Maryjo...

Piosenka była długa, bo miała aż dwadzieścia zwrotek. Jednakże Majcher wysłuchał jej cierpliwie, może nawet z pewnym wzruszeniem. Potem zdecydował:

— Jak ja umrę, możesz tu po mnie zamieszkać.

Umarł jeszcze tego samego roku. Pochowali go na zapuszczonym cmentarzyku w Żdżarach. Zaraz potem Ignacy, który miał wtedy niespełna czterdzieści lat, sprowadził się do szałasu i rozpoczął pustelniczą egzystencję.

3.

Podobno, za czasów Majchra, ta lepianka była znacznie mniejsza. Ignacy zmodyfikował ją trochę. Dostał od gminy parę wybrakowanych cegieł: poszerzył i podłużył klatkę o pół metra, gałęzie z dachu zastąpił deskami, pokrył to wszystko słomą i darniną.

W tym stanie przetrwała do dziś, a wraz z nią, ostatni polski pustelnik.

Przetrwała, — to nie jest mocne słowo. Nim ktoś powie, że to słowo za mocne, niech weźmie pod uwagę następujące fakty:

Jednego razu, podczas wojny, Ignacy modlił się w rochowym kościółku, który podówczas stał otworem. Powietrze było parne i z południa nadciągała burza. Gromów jeszcze nie słyszał, ale refleksy grały już na ścianach zwodniczym, niebieskawym blaskiem. Nagle....

Nagle Ignacy przeraził się burzy. Ciekawe — nie twierdzi, jakoby miał wówczas widzenia albo jakiś sygnał od Boga. Nic z tych rzeczy. Po prostu — przeraził się ludzkim, najzwyklejszym przerażeniem. Czmychnął z kościoła do swojej norki. Zaraz potem piorun trafił w kościół; Ignacy był świadkiem, jak z godziny na godzinę wypalał się w środku, aż do samych sędziwych murów. Chatce natomiast nic się nie stało. Może wiatr wiał inaczej? Może drzewa kościelne zatrzymały iskry?

Innym razem, Ignacy pustelnik, zbudzony został z drzemki przez natarczywą kanonadę.

Wspomina:

Wyjrzałem ci na dwór, bom ci myślał, że dziedzice strzelają w zające. A tu Niemcy już za moją chatką, Ruskie za nimi...

Tak dla Ignacego skończyła się wojna. Szczęśliwie. Wrócił do lepianki i położył się spać.

Z wojny Ignacy dużo nie pamięta. Kiedyś poczłapał do Nowego Miasta na odpust i w domu, gdzie zatrzymał się na noc, Niemcy zrobili rewizję. Rzecz jasna, że na drugi dzień podobną rewizję przeprowadzili w pustelniczej chatce. Lecz Ignacy nie ukrywał broni i granatów, do polityki się nie mieszał, więc i z tej opresji wyszedł cało.

4.

Według Encyklopedii Gutenberga — pustelnik, to człowiek który opuścił społeczeństwo ludzkie, osiadł w miejscu odosobnionym, wśród lasów lub na pustyni, aby oddać się bez żadnych przeszkód modlitwie, kontemplacji oraz pokucie za grzechy swoje i drugich.

Ostatni polski pustelnik spełnia w zasadzie te wszystkie warunki. Trzydzieści lat z okładem, jak uciekł od ludzi. Mieszka na uboczu i rzadko kiedy ma gości. Modli się bardzo gorliwie — sam tylko wieczny odpoczynek sto razy dziennie odmawia, co mu dobrze robi na sen. Z kontemplacją też najgorzej nie jest. Zamyśla się czasem — choć beztrosko. Je bardzo skromnie — suchy chleb, kartofle, czasami kawałek słoniny użebrany w drodze do kościoła...

A jednak...

Coś mi w tym wszystkim nie gra. Może oczy pustelnika, niebieskie i żywe? Może jego głos i chichotliwe zaśpiewy, którymi przerywa swoje religijne rozważania?

Nie, proszę mnie dobrze zrozumieć: pustelnik nie jest szarlatanem. Ani hochsztaplerem. Ani znachorem spekulującym na ziołach. Nie twierdzę także, żeby miał potasowane klepki. Wprost przeciwnie: pamięć — wbrew opinii księdza kapucyna — dopisuje mu wspaniale...

Trudno mi jednak uwierzyć, że ten człowiek osiadł w samotni, aby żałować za grzechy, których nigdy nie popełnił. Aby chciał odkupić winy tego świata.

5.

— Zapalicie, dziadku?

Wyciąga papierosa. Ręka drga miarową wibracją.

— A kieliszek od czasu do czasu?

— Hi, hi — dusi w sobie radosny śmiech.

— A wam, dziadku, nie smutno samemu?

— Czemu...

— No tak, bez rodziny, bez domu...

Opowiada teraz, jak siostra przestała pisać. Jeszcze kilka lat temu przychodziły skromne paczki. Potem i to ustało.

— Oni tam myślą, że ja mam dużo pieniędzy — mówi dziadek; znowu zanosi się śmiechem.

Widzę trochę drobnych monet, ułożonych w piramidki na żałosnej imitacji piecyka. Ile tego może być? Dwa, trzy złote?...

— Macie pewnie żal do siostry?

— Eeee...

— No dobrze — mówię — a co wy dziadku jecie?

— Kartofle — powiada.

Nogi mu trochę popuchły (trzy tygodnie był w szpitalu) i nie bardzo może chodzić. Od dawna nie widział ludzi. Od dawna nie jadł chleba i słoniny, ulubionych potraw.

— Nikt was, dziadku, nie odwiedza?

— A nikt. Ale jak pójdę do ludzi, to zawsze coś dadzą, kapotę po umrzyku, trochę zupy w manierkę... Ino że teraz nie mogę chodzić...

Zaczyna śpiewać:

Baraban, baraban, gromko bijot
nasza rota strojeno idiot!

Kończy z przytupem i dziarskim wyrzuceniem ręki.

Ptak, czarny zagłodzony kruk. Szpiczaste, wzniesione ku górze ramiona, strzęp szary na grzbiecie... Ten człowiek nie mył ciała od kilkunastu lat. Nie pamięta, kiedy po raz ostatni zmienił najbliższe ciału łachmany.

Ale to człowiek. Mało! — to ostatni pustelnik w Polsce, żyjący na odludziu w towarzystwie myszy i szczurów.

Mówi:

— Miał do mnie przyjść Wyszyński, ale ludzie nie przepuścili. To było na świętego Rocha. Żem wtedy sam do niego wyszedł i powiedziałem: „Szanowanie ekscelencjo".

Jest w tym jakaś ironia, drwina. Ludzie jego żałują, on — ludzi. Ten człowiek zachowuje się jednako wobec chłopa i kardynała, bogacza i biedoty. Za parę złotych podziękuje tak samo, jak za dziesięć tysięcy. Nie chce, żeby o nim pisać, mówić w radio, telewizji... Ale skoro już jesteś i prosisz, więc zaśpiewa ci balladę:

„Posłuchajcie, proszę was o wojnie tureckiej
O Najświętszej Panience i królu Sobieskim.
O Najświętsza Panienko, co teraz za lata
Czyli sądny dzień nastał
Czyli koniec świata.
Na drugi dzień przed świtem
w proch bramy rozbiły
A przedmieściem wiedeńskim
Turcy już kroczyły
I przyjechał chan turecki
monstrancyję zdjęli
siedemdziesięciu zakonników
przed klasztorem ścięli
Zakonnicom i pannom
rżnęli piers nożami
przenajświętszy sakrament
zdeptali nogami.

Ballada jest piękna i groźna. Przytoczyć ją całą nie sposób. W każdym razie — zjawia się Sobieski, wzywa Turków na krwawy bój i odnosi zwycięstwo. Pustelnik śpiewa zwrotkę po zwrotce, drżącym, monotonnym głosem, aby zakończyć gwałtownym wyrzuceniem ręki w górę.

— To on ci, bracie, pobił tych poganów — powiedział w formie komentarza. I zaśmiał się chichotliwie, z ledwie wyczuwalną nutką ironii.

* ★ *

Boję się o jedno: żeby ktoś komunikatywny po przeczytaniu tego reportażu, nie zapragnął pustelnikowi pomagać.

Broń Boże! Już on sobie radzi wyśmienicie. A jeden, jedyny przedmiot z cywilizowanego świata (choćby radio) wniósłby w życie pustelnika niepokój i roztargnienie.

Jeśli już koniecznie chcecie zrobić mu frajdę, to poślijcie na adres: Ignacy Piotrowski, Łęgonice (z dopiskiem na boku: pustelnik) bochen chleba i kawałek słoniny.

---

kopru, zalać buljonem lub wrzącą wodą. Wybrać potem płactwo z buljonu, a sos przecedzić przez sito. Ugotować kopę raków, obrać, wyciągnąć kiszeczki, ze środków i mniejszych nóżek zrobić rakowe masło, z nóg większych usiekać mięso drobno i zrobić farsz z kawałkiem rakowego masła, nadziać tym skorupki, z reszty zrobić małe pulpeciki i odgotować w rozsolonym wrzatku".

Potem „zrobić listkowe lub maślne ciasto, rozwałkować do grubości dwóch tylców noża, położyć na niem srebrny półmisek, nadający się użyć do pasztetu"...

A potem, żeby nie nudzić tym przepisem, dodam, że trzeba się postarać o kapary lub pieczarki oraz suchy bulion, wytrzasnąć elektronowy mózg, żeby przy jego pomocy obliczyć czas potrzebny do doprowadzenia tej kompozycji świątecznej do stanu doskonałości, a także — podsumować pieniądze niezbędne do kupienia srebrnego półmiska, kaparów, pieczarek, suchego bulionu, o którym nikt z nas nie słyszał, że gdzieś można go nabyć. A jeśli zrażeni wynikiem rachunku machniemy ręką na siedem młodych indyczat, to może taniej wypadnie „Barani maciek z baranią wątrobą":

„Ugotować z różną włoszczyzną lekkie — z wątroba baranią, odcedzić i drobno usiekać; dodać 4 lub 5 jaj, trochę tartej bułki, soli, pieprzu angielskiego i prostego, pokrajanego baraniego łoju niepełną kwaterkę. Wysłać rondel z lekka masłem wysmarowany baranią błonią, nazwaną czepcem, włożyć doń wymieszaną masę, i wstawić do gorącego pieca. Wydać jak babkę w całku".

Jeśli trudno będzie zdobyć wątrobę barania i czepiec barani, nie stać nas na „kuropatwy z sardelowem masłem", „dołmę turecką", „szołtanosy", „farsz śledziowy zapiekany na śniadanie z cielęciną", to o wiele tańsza i prostsza w wykonaniu jest ze „109 potraw" Elżbiety Kiewnarskiej.

„Głucha ryba. (Zupa o smaku ryby — bez ryby)".

„60 dkg kartofli obrać, pokrajać na ćwiartki. Dwie duże cebule, pokrajane na połówki gotować w półtora litrze wody z rozgniecionymi (nie utłuczonymi) ziarnkami pieprzu i listkiem. Dodać kartofle, ugotować. Podawać natychmiast po ugotowaniu. Zupa ta mało się różni w smaku od czystego rosołu rybnego".

„Kutia wigilijna".

„25 dkg pszenicy w ziarnach, 20 dkg maku. Sacharyna do smaku".

„Tanie strucle postne".

„2 kg mąki, 6 dkg drożdży, spora łyżeczka soli, trzy czwarte szklanki oleju, 25 pastylek sacharyny dla smaku".

Te okupacyjne dania z powyższej książki kucharskiej, wydanej w roku 1941, bywały różnie urozmaicane. Często olej rzepakowy, jak pamiętamy, bywał zastępowany parafinowym, mąka zmielonymi otrębami i krochmalem ziemniaczanym, pączki karnawałowe bywały oblewane parafiną jak lukrem, „głucha ryba", w razie potrzeby stawała się każdym „głuchym" zwierzęciem jadalnym, nawet „głucha konina".

Utraciwszy nieco swej pogody w czasie świątecznego rozmyślania o zmiennych kolejach losu, odzyskajmy ją czytając poniższy spis zwierząt jadalnych, przepuszczonych przez przewód pokarmowy naszych przodków w czasie uczty weselnej, wydanej dla uczczenia ślubu Felicjana Potockiego z córką Jerzego Lubomirskiego (cytujemy według książeczki Leona Przemskiego „Na tropach słów i rzeczy"). Zjedzono wtedy, nie licząc różnorakich konfektów i polewek:

„24 jelenie, 30 danieli, 300 zajęcy, 45 sarn, 4 dziki, 1.000 jarząbków, 1.000 kuropatw, 3.000 drobnych ptaszków, 5.000 kaczek, 60 tuczonych wołów, 300 cieląt, 500 baranów, 3.000 spasionych kapłonów, 8.000 kur, 120 prosiąt, 30 wieprzów, 1.500 kurcząt".

A ile poszło wiader cynamonu, imbiru, korzeni, szafranu, ile beczek i worów pieprzu, ile rozmarynu, tymianu, ile kuf alikantu, węgrzyna, ile kadzi miodu?

Takiej to gargantuiczno-pantagrueliczne biesiady życzymy czytelnikom „Odgłosów", włączając do życzeń: Bałtyk musztardy kremskiej, Morze Czarne francuskiej, Kaspijskie angielskiej, Czerwone sarepskiej, nie licząc wiązek chrzanu, gór kiszonych ogórków i innych pornych jarzyn i przypraw zaostrzających apetyt. **ZYGMUNT FIJAS**

Mikołaj Rej

Ci najwięcej jedzą
Co bliżej misy siedzą.

85 lat Kazimierza Błeszyńskiego

POLAKIEM JESTEM — DOGŁĘBNIE POLAKIEM

Nazywam się Kazimierz Ludwik Konstanty Błeszyński. Dano mi trzy imiona, ale bo też rodzice moi, przez politykę zrujnowani, nic więcej dać mi już w dziedzictwie nie mogli.

Urodziłem się dnia 1 maja 1881 roku, mam więc lat 85 z górą, ale i fizycznie i umysłowo w pełni sił jestem, tak że dopiero od niedawna wolę czekać na przystanku tramwajowym, niż wsiadać i wysiadać w biegu.

Wiem z opowiadań, że na cmentarzu w Błaszkach koło Sieradza jest pono do dziś jeszcze kapliczka z napisem „Grób rodziny Błeszyńskich", lecz że Błeszyńskich już od bardzo dawna w tamtych stronach nie ma, przeto służy dziś ona za dom przedpogrzebowy.

Jestem synem Zdzisława, który miał ongiś majątek Żelisław pod Błaszkami, stąd wśród moich tak licznych pseudonimów partyjnych i zwłaszcza literackich jest też nazwisko „Żelisławski".

Rodzina Błeszyńskich jest na pewno czeskiego pochodzenia, ale to już bardzo, bardzo dawne czasy, epoka świętego Wojciecha. Znany niegdyś księgarz warszawski Władysław Trzaska z firmy „Trzaska, Ewert i Michalski" mówił mi — a on się znał na herbach polskich — że herb Suche Komnaty, którym się Błeszyńscy mojej linii pieczętowali, jest jednym z najstarszych w Polsce. Nic mnie to nie wzruszyło; spytałem go natomiast, czy ci moi Błeszyńscy byli pod Grunwaldem, lecz tego on nie wiedział. Ale z oblężonej przez Szwedów Jasnej Góry posłował do oblegających od Kordeckiego ksiądz Maciej Błeszyński (o ile pamiętam, to mający nawet jakiś stopień uczonego); a o autorze „Marii" Antonim Malczewskim w historii literatury polskiej Chmielowskiego przeczytać można, iż matka jego, Konstancja z Błeszyńskich, pochodziła z rodziny „słynnej z urody i awanturniczości". Do nazwy awanturniczego życie moje istotnie pretendować może, lecz nie ja do urody rodziny Błeszyńskich, jako że kubek w kubek podobny jestem do mej matki, Heleny z Sękowskich — tych samych, których przodek, poeta koronowany w Rzymie, czyli tak zwany ongi „poeta laureatus", był to słynny Sarbiewski z Wielkiego Sękowa.

Szkoły kończyłem, uczyłem się i studiowałem w Radomsku (w słynnej szkole Fabianiego), w Warszawie, Berlinie, Heidelbergu, Lipsku, Paryżu i Brukseli; studia wyższe zacząłem od biologii, a skończyłem na czystej filozofii.

Od wczesnej młodości brałem czynny udział w ruchu rewolucyjnym. Podczas służby wojskowej w gwardii carskiej w Warszawie wszedłem w ścisły kontakt z Wszechrosyjskim Oficerskim Związkiem Rewolucyjnym i wydawałem pismo „Sołdatskij Listok", znając dobrze język rosyjski i ze szkoły i zwłaszcza z dłuższego pobytu pod Moskwą w swych szczenięcych latach.

Prócz rosyjskiego znam rozmaicie biegle różne języki obce: łacinę, grekę, niemiecki, francuski, włoski, angielski oraz poniekąd i hiszpański. Z języków tych przełożyłem i wydałem sporo książek: Bergsona, Ribota, Marksa, Engelsa, Kautsky'ego, Lenina itd. Za dwa najpiękniejsze i najbogatsze języki uważam starogrecki i rosyjski.

Pisywać i drukować zacząłem bardzo wcześnie; już jako uczeń gimnazjum byłem współpracownikiem pisma „Wszechświat" jeszcze za redaktorstwa Znatowicza.

Aresztowany przez żandarmerię, przesiedziałem czas dłuższy w więzieniu w Warszawie; Sybiru i katorgi uniknąłem tylko dzięki wyjątkowo szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

Wydalony administracyjnie z kraju i granic cesarstwa rosyjskiego, spędziłem długie lata na emigracji, żyjąc przeważnie z pióra. Pisywałem wyłącznie do pism postępowych i robotniczych — bez podpisu oraz pod różnymi pseudonimami, których większości już dziś nawet nie pamiętam.

Po powrocie z emigracji do wyzwolonej Polski utrzymywałem się z lekcji i zarabiałem piórem. Byłem też wówczas członkiem i — członkiem zarządu — Warszawskiego Instytutu Filozoficznego oraz Towarzystwa Psychologicznego, a przez czas pewien podpisywałem „Przegląd Filozoficzny" z ramienia komitetu redakcyjnego.

Wystawiłem ongi nie bez powodzenia dwie sztuki: „Badyle i pąki" w warszawskim Teatrze Polskim oraz komedię „Skromna Hanka" w Łodzi u Zelwerowicza. Komedia ta cieszyła się tak wielkim powodzeniem u robotników łódzkich i wywołała taką burzę protestów prawicy, że zdjęto ją z afisza.

W międzywojennym dwudziestoleciu pracowałem też przez czas pewien w cenzurze filmowej, którą porzuciłem z własnej woli po ostrej scysji z ministrem Składkowskim na tle udziału kin w akcji wyborów do Sejmu. Dzięki przyjacielowi memu prezydentowi Stefanowi Starzyńskiemu zostałem potem naczelnikiem wydziału w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych, skąd sam wyszedłem na emeryturę.

O wiele ważniejsze, jak sądzę, od mych prac wydanych albo wystawionych, utwory utraciłem bezpowrotnie w powstaniu warszawskim 1944 roku.

Za liczne swe przekłady klasyków marksizmu-leninizmu pobieram obecnie emeryturę dla specjalnie zasłużonych.

W życiu kierowałem się zawsze dewizą z Owidiusza „Bene qui latuit bene vixit" — „ten dobrze przeżył życie, kto się dobrze skrył"; a do ukrywania się miałem, zwłaszcza w młodości, poważne powody.

Umrę nie zmieniony w dogłębnym swym rdzeniu.

KAZIMIERZ BŁESZYŃSKI

Kazimierz Błeszyński skończył 85 lat życia. Piękny to wiek i bogaty w zdarzenia i dokonania. Przypominamy je dzisiaj nie tylko z powodu, tak pięknego jubileuszu, ale także dlatego, by młodemu pokoleniu czytelników dać obraz życia i pracy człowieka, zasłużonego dla kultury i literatury polskiej. Jest to tym bardziej konieczne, że nazwisko Kazimierza Błeszyńskiego nie figuruje w „Słowniku współczesnych pisarzy polskich", ani w żadnej z dotychczasowych encyklopedii polskich, wydanych po wojnie. Uchybienie to jest tak zdumiewające, że trudno je po prostu zrozumieć. Kazimierz Błeszyński urodził się 1 maja (w niedzielę) 1881 r. we wsi Staw, gmina Gruszczyce na ziemi wieluńskiej. Przez wiele lat Błeszyńscy mieszkali w Żelisławiu pod Błaszkami. Ukończył III gimnazjum warszawskie, a następnie odbywał studia przyrodnicze na Uniwersytecie w Warszawie. Za udział w pracy konspiracyjnej wydalono go ze studiów, siedział w więzieniu (wraz z Feliksem Perlem), a wreszcie skazany został na banicję. Wyjechał za granicę, gdzie kontynuował studia filozoficzne na uniwersytetach w Berlinie, Lipsku, i Heidelbergu. Przebywał także w Paryżu i Brukseli.

W r. 1912 ukazała się jego rozprawa „Monizm a filozofia", napisana podczas pobytu autora w Lipsku. W ciągu całego swego życia Błeszyński zajmował się zagadnieniami filozoficznymi, nie tylko pisząc prace oryginalne z tego zakresu, ale także tłumacząc, na przykład „Wstęp do metafizyki" Bergsona oraz uczestnicząc w redagowaniu „Przeglądu Filozoficznego". Pisywał artykuły do „Krytyki" Feldmana, a w okresie międzywojennym do „Wiadomości Literackich". Piszącemu te słowa zachował się numer „Wiadomości" z artykułem Błeszyńskiego o filozofii Kanta pt. „Magnus parens". W czasie pierwszej wojny światowej redagował pismo rewolucyjne w języku rosyjskim pn. „Sołdatskij listok". Między wojnami teatry polskie wystawiły dwie sztuki Błeszyńskiego. 27 marca 1917 r. na scenie warszawskiego Teatru Polskiego wystawiono po raz pierwszy „Badyle i pąki", czteroaktową sztukę Błeszyńskiego w reżyserii Aleksandra Zelwerowicza. Sztuka miała powodzenie i grana była 27 razy. 6 maja 1921 roku w Teatrze Polskim w Łodzi za dyrekcji Zelwerowicza odbyła się prapremiera jego sztuki „Skromna Hanka" w reżyserii Zygmunta Noskowskiego. Sztuką tą Błeszyński naraził się sferom endecko-klerykalnym. Po 9 przedstawieniach sztukę zdjęto z afisza. (Nawiasem mówiąc obydwie te sztuki zaginęły).

Długa jest lista przekładów z języków obcych Kazimierza Błeszyńskiego. I to zarówno dzieł literatury pięknej, jak i naukowej. Z beletrystów przetłumaczył m. in. „Młodzika" Dostojewskiego oraz „Sidhartę" Herrmanna Hesse. Z dzieł filozoficzno-naukowych tłumaczył m. in. Marksa, Engelsa i Łomonosowa.

Ostatnią wojnę przeżył Błeszyński w Warszawie. Po powstaniu warszawskim wywieziono go do Jędrzejowa, gdzie jakiś czas przebywał po czym przeniósł się do Miechowa, a stamtąd do Krakowa. Na stałe miejsce zamieszkania wybrał Łódź, w której żyje dotychczas. W początkach roku 1961 Błeszyński opublikował swoje wspomnienia pt. „O mnie i nie o mnie", w których wiele miejsca poświęcił swojemu przyjacielowi, Francowi Fiszerowi. Książka ta miała duże powodzenie, najlepszy dowód, że w niedługim czasie ukazało się drugie jej wydanie, również w tej chwili już wyczerpane. Przed dwoma laty wydał Błeszyński tom opowiadań „Wywoływanie Boga", a jeszcze wcześniej dramat, napisany wierszem białym „Szekspir i owce".

Ponieważ odwiedzam często Kazimierza Błeszyńskiego, wiadomo mi, że pisze dalszy ciąg swoich wspomnień, które z pewnością będą nie mniej pasjonujące, niż „O mnie i nie o mnie".

Sędziwemu, ale wciąż żywotnemu autorowi należy życzyć jak najlepszego zdrowia i zrealizowania wszystkich zamierzeń pisarskich. Ad multos annos!

JAN KOPROWSKI

IGOR SIKIRYCKI

GDZIE RZYM A GDZIE KRYM

czyli niezwykła opowieść o moich podróżach

Wszystko zaczęło się zupełnie inaczej niż w bajce. W ostatnich dniach października ubiegłego roku kończyłem korektę przekładu staroarmeńskiego eposu ludowego pt. „Dawid z Sasunu".

Po „Witeziu w tygrysiej skórze" Rustawelego, była to niewątpliwie moja największa praca literacka, której poświęciłem dokładnie trzy lata, nie licząc owego października spędzonego w Armenii na ciągłych konsultacjach i ostatecznym szlifowaniu tekstu *).

Miałem już nawet poważne obawy, że poczciwy profesor Karo-Melik-Ohandżanian, członek Armeńskiej Akademii Nauk, któremu zabierałem codziennie po kilka godzin cennego czasu, skończy wreszcie z przysłowiową ormiańską gościnnością i pewnego pięknego dnia wyrzuci mnie przez okno skierowane dokładnie w stronę pokrytego wiecznym śniegiem Araratu.

Kiedy mu o tym powiedziałem, uśmiechnął się dobrodusznie: — Cóż znaczy ta odrobina czasu, wobec tysiąclecia, które dzieli nas od chwili narodzin „Dawida z Sasunu".... Ja sam zresztą poświęciłem temu dziełu przeszło pięćdziesiąt lat życia i sądzę, że posiedzimy nad pańskim przekładem jeszcze co najmniej miesiąc.

Szykowałem się już do wyjścia, lecz po tych słowach nogi ugięły się pode mną i mimo woli opadłem na fotel obity czarną matową skórą.

— O Boże! Jeszcze miesiąc! Nie, tego już chyba nie wytrzymam — przemknęło mi przez głowę.

A wtedy w oczach starego profesora zapaliły się figlarne ogniki. Zbliżył się do mnie i opierając na mym ramieniu szczupłą dłoń pokrytą siecią drobnych sinych żyłek, dorzucił: — Powiedziałem z miesiąc, ale mając na myśli czas, kiedy „Dawid" ukaże się już w polskim wydaniu książkowym. Mam bowiem nadzieję, że jeden z pierwszych egzemplarzy zechce mi pan przekazać osobiście, tu pod tym skromnym dachem

— Ależ, profesorze...

— Tak, tak, młody człowieku — obdarzył mnie tym ulubionym zwrotem, kierowanym niejednokrotnie nawet do swoich siedemdziesięcioletnich rówieśników — wydaje mi się, że jeszcze w tym tygodniu dobrniemy do końca.

I tak też się stało. Okazało się, że profesor był jednak prorokiem w swoim kraju.

W parę dni później, z gotowym rękopisem pod pachą, wędrowałem ulicami Erewania uwolniony od wszelkich literackich problemów, z jakimś dziwnym uczuciem, jakbym znalazł się w tym mieście po raz pierwszy w życiu.

Całe otoczenie odbierałem na nowo. Zupełnie tak, jakby na uszkodzonym ekranie moich obserwacji, pojawił się nagle doskonały obraz pełen plastycznych i kontrastowych kształtów, ożywionych blaskiem kaukaskiego słońca.

W drodze do swego hotelu zajrzałem na chwilę do wędkarskiego sklepu, w którym od trzech tygodni ekspedient, Baro, z odznaką mistrza sportu wpiętą w klapę skórzanej kurtki, namawiał mnie bezskutecznie na wspólną rybacką wyprawę.

— No, teraz już nic nie stoi na przeszkodzie, by zapolować w odmętach Sewanu na „Iszchana" — rybę księcia, która potrafi poigrać z rybakiem nie gorzej od naszej głowacicy.

Ale Baro nie podzielił mego entuzjazmu. Wprawdzie jutro jest niedziela i ma cały dzień wolny, lecz umówił się już z przyjaciółmi na wspólny wyjazd do Eczmiadzinu. Kiedy zapytałem go, po co tam jadą, spojrzał na mnie jak na pomyleńca.

— Jak to po co? Przecież każde dziecko wie, że jutro w Eczmiadzinie Katolikos obchodzi dziesięciolecie swojej duszpasterskiej służby, i że podczas uroczystego nabożeństwa tuż obok bazyliki, zostanie odsłonięty pomnik ku czci Ormian pomordowanych podczas tureckich rzezi. Na tę uroczystość zjechali się także Ormianie, których ciężki los rozsypał po całym świecie jak ziarnka piasku.

On, Baro, wolałby także, żeby uroczystość ta odbyła się w innym terminie, bo właśnie przedwczoraj leśniczy dał mu znać, że na podgórzu wytropił na świeżym śniegu ładnego niedźwiedzia, ale trudno, i niedźwiedź i ryby muszą poczekać.

W hotelowym pokoju przywitał mnie telefon, który usłyszałem już na korytarzu. Dzwonił Waagen, utalentowany poeta, typowy przedstawiciel średniego pokolenia pisarzy.

— No, nareszcie jesteś, gdzie ty się podziewasz? Od profesora wyszedłeś przed dwiema godzinami, a ja już dzwonię przeszło godzinę.

— A cóż się stało?

— Nic takiego, ale chcę cię zawiadomić, że jutro rano jedziemy do Eczmiadzinu. Będziesz miał okazję zrobić kilka ciekawych zdjęć, a poza tym to warto zobaczyć.

— Wiem, słyszałem.

— To dobrze, wobec tego bądź o dziewiątej na dole przed hotelem.

Po rozmowie z Waagenem zabrałem się do wertowania przewodnika po Armenii. O Katolikosie wiedziałem wprawdzie tylko tyle, ile można znaleźć w encyklopediach, a mianowicie, że jest to honorowy tytuł patriarchy kościołów: armeńskiego, nestoriańskiego i gruzińskiego. To mi oczywiście w zupełności wystarczało. Natomiast o Eczmiadzinie, gdzie Katolikos ma w klasztorze swoją stałą siedzibę, nie znalazłem w przewodniku nic ciekawego, poza notatką, że Sobór Eczmiadziński, w którym odbędą się jutrzejsze uroczystości, został zbudowany w drugiej połowie V wieku.

Krótko mówiąc, bije nasze polskie milenium, o pełne cztery długości dość bogatych w wydarzenia wieków.

Ale nazajutrz, przed hotelem, nie myślałem już o historii, zwłaszcza, że „Wołga" zajechała punktualnie, a w jej wnętrzu obok poety Waagena, siedziała czarnobrewa Ormianka, która miała nam towarzyszyć w charakterze przewodnika.

Jak się wkrótce okazało, była studentką

BIBLIOFILSKI RAPTULARZ ★ BIBLIOFILSKI RAPTULARZ

Jak rozkoszne są te bliźnięta! Jak podobne do siebie! Zwłaszcza to jedno!
JULIAN TUWIM – JAK ZNAŁ GO ADOLF HOFFMEJSTER.
(Z aforyzmów Tuwima)

TUWIMIANA

Jeśli pozwalam sobie bibliofilski felieton poświęcić poezji, dzieje się to nie tylko ze względu na osobiste gusty i zamiłowania. Ostatnio trafiło do naszych rąk dzieło, które potrafi w znakomity sposób uświadomić tezę, że edytor może być współtwórcą literackiego sukcesu.

Pewne zmniejszenie zainteresowania tym nurtem w poezji, który reprezentował Julian Tuwim wydaje się nieco dziwne. Należał on bowiem do tych twórców, którzy rozumieli potrzeby masowej publiczności, czuli prawa estrady, wielokrotnie poezja jego sprawdzała się w salach teatralnych i radiu, z pewnością jest też bardzo telewizyjna. Młoda poezja współczesna pisana na przekór masowym środkom komunikacji musi się zgodzić na stosunkowo wąskie grono oddanych czytelników. Wydaje się więc, że możliwości popularyzacji twórczości Tuwima nie są w pełni wykorzystane. Mamy co prawda wielotomowe „Dzieła" przeznaczone dla nielicznych tuwimologów ukrywające sporo nie zauważonych szerzej utworów np. nowo odkryte wspomnienia łódzkiej młodości, które warto by udostępnić w osobnej publikacji. Mamy też wybory poezji, bezbarwne, na złym papierze, przeznaczone ad usum delfini — jako lektura obowiązkowa ucznia lub studenta. Doczekał się poeta nawet tomu w serii „Biblioteki Narodowej" pozbawionego prawie zupełnie tuwimowskiego esprit, zaopatrzonego za to w erudycyjny wstęp i przypisy.

Dopiero teraz otrzymali czytelnicy książkę, która nie tylko swą zawartością ale i formą potrafiła zjednać naszemu poecie nowe rzesze odbiorców. Dzieło, które w wyborze wierszy słusznie faworyzuje utwory nie pozbawione tonów żartobliwych, uśmiechu i ironii; całego tuwimowskiego cyrku z fajerwerkiem, a równocześnie potrafiące przekonać, że poeta ten mówił swym współczesnym rzeczy istotne, że potrafił dotykać najaktualniejszych zagadnień. Tom zaopatrzony został w rzeczowy wstęp wprowadzający w tuwimowską epokę i problematykę, ilustrowany i drukowany z podziwu godną starannością, ozdobiony fotografiami, reprodukcjami ilustracji z epoki oraz zabawnymi ilustracjami obecnie wykonanymi. W całości odczuwa się, że edytor rozumiał poetę. Nie przeoczył również silnego związania Tuwima z Łodzią: na wyklejce widać panoramę naszego miasta, nie pominięto wierszy mu poświęconych. Wreszcie wykorzystano największy walor tuwimowskiej poezji — jej dźwięk. Do książki dołączona jest długogrająca płyta zawierająca recytacje wierszy, w tym również jedno z nielicznych, archiwalnych nagrań głosu poety, który mówi swój wiersz „Archanioł".

Nie radzę jednak śpieszyć do księgarń „Domu Książki". Książka o której piszę jest już wyczerpana, a zresztą ukazała się w Pradze czeskiej w świetnym przekładzie i staraniem poety Jana Pilara.

At' si jen chválí Sorrento, Krym
rozliční pánové zdejší.
Já mám ród Lodź. Prach její a dym
mne pokaždé ukonejší.

Książka zaopatrzona jest dodatkiem o stosunkach Tuwima z Czechami, w którym przedrukowano szereg listów poety do Franciszka Halasa i Jana Pilara, które tworzą z książki nie tylko gratkę bibliofilską (ach, jaki papier i czcionka!) ale przyczynek tuwimologiczny. W jednym ze swych listów do Jana Pilara Julian Tuwim pisał: „Nie potrafię panu powiedzieć, jak wielką radość sprawił mi pan tą piękną książką. Proszę nie sądzić, że określając ją tym epitetem, chwalę własne wiersze. Mówię oczywiście o szacie graficznej i o pańskiej pracy jako tłumacza". — Słowa te odniesione do jednego z dawnych tomów na pewno stosują się również do nowego. Wiemy jak trudną drogę mają tłumaczenia poezji do czytelnika, nie dziwimy się jednak dochodzącym z Pragi wiadomościom, że tom wydany w masowej serii Klubu Przyjaciół Poezji stał się bestsellerem. Dobrze się przysłużył Jan Pilar polskiej poezji. Nie tylko dlatego, że wie jak ją tłumaczyć, ale również dlatego że rozumie wagę pracy edytorskiej, takich drobnych szczegółów jak papier, druk i ilustracje, które potrafią zniechęcić bądź zdobyć czytelnika.

JANUSZ DUNIN

P.S. Na marginesie tego co napisałem nasuwa się nieodparcie myśl, że właśnie Łódź powinna zadbać o popularyzację poety. Może Wydawnictwo Łódzkie pokusiłoby się o popularny i piękny wybór? Może telewizja zorganizowałaby festiwal inscenizacji tekstów poety. Dotychczas o sprawy swego patrona dbał tylko Młodzieżowy Dom Kultury, który zorganizował szereg imprez oraz stałą wystawę pamiątek po Tuwimie. Niestety, impreza została „upupiona" — prasa poza notatkami o uroczystym otwarciu z udziałem rodziny poety, sprawę zignorowała, a społeczeństwo potraktowało całą imprezę jako przeznaczoną wyłącznie dla młodzieży szkolnej, którą zresztą gromadnie na wystawę sprowadzano. A przecież starannie wykonana przy pomocy warszawskiego Muzeum Mickiewicza ekspozycja mogła śmiało stanąć w rzędzie nielicznych polskich muzeów literatury (a wierzcie mi, nie była ona wiele gorsza od niektórych znanych tego rodzaju placówek). Tak więc uboga w turystyczne atrakcje Łódź nie wykorzystała okazji, miast poprzeć inicjatywę i skorygować niektóre wyraźne niedociągnięcia, zniechęcono organizatorów, którzy odesłali część eksponatów wypożyczonych z Warszawy i pokazują zubożoną i przykurzoną wystawę nielicznym wycieczkom, myśląc po cichu o zmianie muzeum na salę sezonowych ekspozycji. Wydaje się, że stała wystawa pamiątek, rękopisów, pierwodruków itp. bardzo zbliża epokę i poetę do odbiorców — warto by się nią zaopiekować. Może przydałby się patronat TPŁ?

J. D.

Andrzej Morsztyn

RECEPTA

Jedna pani nadobna pytała doktora
Kiedy lepiej obłapiać, rano czy z wieczora:
Doktor, jako niegłupi, tak pani odpowie:
„Z wieczora to uciecha a rano zaś zdrowie".
„Dobra rada, będę to miała w dobrej pieczy:
I zdrowie i uciecha są to dobre rzeczy".

Jan Smolik

DO HANUŚKI

Pisałem do Hanuśki, odpisu nie dała,
Podobno, o com pisał, dać będzie wolała.

Jan Kochanowski:

Próżno uciec, próżno się przed miłością schronić,
Bo jako lotny nie ma pieszego dogonić.

Sowizdrzał Nowy

NA ZGAGĘ I GARDŁO

Gdy kogo zgaga pali abo boli gardło
Całuj babę w półdziałko, co się nie utarło.

IV roku archeologii, wykazującą niemałą znajomość spraw polskich. Najpierw „zastrzeliła" mnie wyczerpującymi wiadomościami na temat odkryć profesora Michałowskiego w Egipcie, a potem tak pięknie zaczęła opowiadać o Eczmiadzinie, porównując go z Krakowem z taką znajomością rzeczy, że zacząłem ją podejrzewać o siły nadprzyrodzone, zwłaszcza, gdy spytała mnie jak się czuje Nikifor i czy prawdą jest, że na Helu zostanie przekopany kanał.

Nie, w Polsce nie była nigdy, ale jej sąsiad, pan Stanisław Pawłowicz, którego przodkowie przed blisko dwoma wiekami nie z własnej woli znaleźli się na Zakaukaziu, od lat abonuje „Przekrój" i choć także nigdy Polski nie widział, zgromadził w swoim domu chyba najbogatszy w Erewaniu zbiór polskich książek...

Ale oto jesteśmy już w Eczmiadzinie. Na ulicach nieprzebrane tłumy miejscowej ludności i zagranicznych turystów.

Szczyt Araratu lśni teraz tak blisko, jak stalowa zbroja rycerza. Trudno uwierzyć, że góra ta umieszczona w herbie Armenii znajduje się po drugiej stronie granicy.

Przyjechaliśmy z małym opóźnieniem, ale przepustka przyklejona do przedniej szyby samochodu robi swoje. Po chwili okazujemy zaproszenie i już jesteśmy na terenie klasztoru. Msza się już rozpoczęła. O tym, żeby wejść do środka świątyni, szkoda marzyć. Dookoła nieprzebrane tłumy. Z głośników ustawionych na klasztornym dziedzińcu biją w niebo słowa starej ormiańskiej pieśni w wykonaniu tak znakomitego chóru, jaki można usłyszeć tylko tam na Wschodzie. Potem chór ormiański cichnie i rozlegają się słowa kościelnej pieśni gruzińskiej. Tak mija godzina, a może i więcej...

Z początku stałem w cieniu, ale teraz słońce przesunęło się poza obręb cienistych konarów i upał daje się we znaki.

Nie zrobiłem jeszcze ani jednego zdjęcia. Nagle tłum zakołysał się, chóry umilkły i na schodach świątyni ukazał się Katolikos.

Schodził wolno po kamiennych stopniach wytartych przez wieki milionami ludzkich stóp i wraz ze świtą skierował się w stronę pomnika, by go za chwilę odsłonić. Teraz tłum rozkołysał się tak, że po chwili nie widziałem już ani Waagena, ani uroczej entuzjastki „Przekroju".

Po paru minutach udało mi się wycofać poza obręb rozgorączkowanych widzów i przysiąść na kamiennym murku w chłodnym cieniu orzechowego drzewa. I właśnie wtedy zbliżył się do mnie człowiek średniego raczej wzrostu, w nienagannie skrojonym garniturze i patrząc na mnie przez grube soczewki szkieł w wąziutkiej złotej oprawce, zapytał przyjaźnie: — Jeśli się nie mylę, jest pan polskim pisarzem? Pytanie zadał mi po angielsku, ale tak dobitnie i wyraźnie, że mimo słabej znajomości tego języka, zrozumiałem i potwierdziłem jego przypuszczenia. Wyjaśniłem jednak natychmiast, że w angielskim czuję się nie najlepiej i zaproponowałem rosyjski. Tym razem mój partner nie przyjął propozycji.

Przez chwilę przypuszczałem, że na tym zakończy się nasza rozmowa, ale mój przygodny znajomy nie dał za wygraną i natychmiast zaproponował francuski, niemiecki, włoski, a nawet hiszpański.

Wybrałem niemiecki i po chwili dowiedziałem się, że mam przed sobą Ormianina o niezwykle trudnym nazwisku, który mieszka gdzieś w zachodniej Europie, a teraz właśnie przyleciał tu na parę dni w towarzystwie żony, aby pokazać jej niepowtarzalną urodę swojej ojczyzny.

Nawiasem mówiąc, zgubił żonę w tym tłumie, podobnie jak ja swoich przyjaciół. A mnie przypomniał sobie z występu telewizyjnego, na którym przed paroma dniami czytałem fragmenty przekładu „Dawida" na polski.

— Żałuję, że nie znam polskiego języka, ale odniosłem wrażenie, że rytm i melodię wiersza zachował pan znakomicie.

Podziękowałem za komplement i już miałem zamiar udać się na poszukiwanie swoich towarzyszy podróży, kiedy pan o trudnym nazwisku wyjął bilet wizytowy i wręczając mi go, wyjaśnił:

— Przykro mi, że tu w Armenii nie będziemy mogli się spotkać, bo już jutro odlatuję do Moskwy, ale chciałbym pana zapewnić, że każdy, kto tyle czasu poświęcił dla najwspanialszego dzieła naszej literatury, staje się przyjacielem wszystkich Ormian, a zwłaszcza, kiedy jest Polakiem. Toteż jako Ormianin serdecznie pana zapraszam, aby przy najbliższej okazji zechciał pan odwiedzić mnie w moim domu. Dom mój będzie pańskim domem — zakończył tradycyjnym wschodnim porzekadłem, ściskając mi dłoń na pożegnanie.

Rzecz jasna, że całą tę rozmowę potraktowałem jako sympatyczny, ale do niczego nie zobowiązujący gest, zresztą tak charakterystyczny dla wszystkich ludzi Wschodu.

Katolikos zdążył już dokonać odsłonięcia pomnika i właśnie wtedy odnalazł mnie Waagen.

— Widziałem cię z daleka, ale nie mogłem się dopchać. Czy wiesz przynajmniej z kim rozmawiałeś?

— Nie wiem, ale zostawił mi wizytówkę i nawet zaprosił do siebie

— Wobec tego radzę ci skorzystać z zaproszenia. Należy on do niezwykle interesujących ludzi, ma szczególną słabość do pisarzy, namiętnie interesuje się sztuką, no i oczywiście jak każdy Ormianin, wszystkim tym, co ma jakikolwiek związek z Armenią. No, a poza tym jego posiadłość w Monte Carlo, w której zgromadził niemało dzieł sztuki jest także godna obejrzenia... A więc życzę ci szczęśliwej podróży — zakończył Waagen.

— Kto wie, może się tam kiedyś wybiorę — odparłem takim tonem, jakby podróż do Monaco nie przedstawiała dla mnie większych trudności, niż wyjazd z Łodzi do Pabianic.

Rzecz jasna, że w momencie, kiedy wypowiedziałem te słowa w dalekim Eczmiadzinie, tysiące kilometrów od rodzinnego domu, ani na chwilę nie przyszło mi na myśl, że już wkrótce zrealizuję tę niezwykłą podróż. Że już w kilka miesięcy później, mój poczciwy Wartburg dowiezie mnie szczęśliwie przez siedem gór, siedem rzek i siedem granic do uroczego Księstwa Monaco, gdzie gościnność i życzliwość niezwykłego człowieka spotkanego w Armenii, pozwoli mi poznać jeden z najciekawszych zakątków świata: Monaco — miejsce narodzin niesamowitych opowieści krążących wokół legendarnego kasyna gry, otoczonego makabrycznym cmentarzem pechowych samobójców, Monaco — sezonowa Mekka bogatych snobów z całego świata i wreszcie Monaco — miejsce stałego zamieszkania dwudziestu tysięcy pracowitych ludzi, zajętych ciągłą bezkompromisową walką o byt, ludzi i spraw, o których opowiem w następnym reportażu.

---

*) „Dawid z Sasunu" w moim przekładzie ukaże się w I kwartale przyszłego roku, nakładem „Naszej Księgarni".

KONRAD FREJDLICH

WIZYTÓWKI KTÓRE SIĘ JE

1.

Pomimo rekonesansu przeprowadzonego w Bydgoskich Zakładach Mięsnych, jak wszyscy moi poprzednicy, którzy łamali sobie głowę nad tym problemem, nie rozstrzygnę i ja dylematu: czy żyje się, żeby jeść, czy też je się, aby żyć. Tylko zwierzęta rzeźne mogłyby o sobie powiedzieć, że żyją, aby dać się zjeść. Co dzień rano lokomotywa ciągnie na teren dawnego targowiska, które oddzielało niegdyś rzeźnię miejską od przedsiębiorstwa Bekon — Eksport Gniezno sznur wagonów wyładowanych czworonożnymi pasażerami.

Zakłady Mięsne w Bydgoszczy przejęły stan posiadania obu tamtych instytucji i wniosły własny poważny wkład w dzieło tuszy narodowej. Z warsztatów rękodzielniczych stały się potężnym kombinatem o zmechanizowanej produkcji i zatrudniają powyżej półtora tysiąca pracowników. Na 75-lecie swego istnienia, w roku ubiegłym, Zakłady Mięsne we współzawodnictwie branżowym zdobyły sztandar ufundowany przez prezesa Rady Ministrów i CRZZ. Herr Drews, były dyrektor spółki Bekon — Eksport, który niedawno zakończył swe życie w NRF, o czym doniosły zagraniczne gazety fachowe, nie poznałby dziś zakładów. Pomimo, że jak dawniej, nad terenem przetwórni góruje wieżyczka nieco secesyjnego, reprezentacyjnego budynku dawnej administracji z dwoma zegarami i pomimo że spory odsetek pracowników zakładów pracuje nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat.

Zakłady słyną w świecie z produkcji szynek o smakowicie brzmiących nazwach: „Atalanta", „Krakus" czy „PEK". Każdej z tych nazw można by poświęcić długi gastronomiczny poemat, ale ponieważ życie jest za krótkie, zrezygnujemy z poezji na rzecz opinii, równie, a może jeszcze bardziej kompetentnej. Sprawozdania z rynku angielskiego dokonywane systematycznie przez przedsiębiorstwo handlowe „John Loudon" mówią niedwuznacznie, że podbiliśmy doszczętnie podniebienia i żołądki chłodnych synów Albionu. Tajemnica tego powodzenia, jak stwierdza inż. Władysław Urbaniak, dyrektor zakładów, tkwi w sposobie żywienia przez nas zwierząt rzeźnych oraz w przebiegu procesu technologicznego obróbki mięsa. Co do tego ostatniego obowiązuje receptura jeszcze przedwojenna, stale jednak modyfikowana, gdyż poczucie smaku zmienia się jak moda. Między innymi dlatego właśnie zakłady często są odwiedzane przez przedstawicieli zagranicznych przedsiębiorstw handlowych, którzy przyjeżdżają, aby na miejscu omówić wymagania zagranicznego konsumenta. Chodzi z grubsza o takie kwestie, jak procent zawartości tłuszczu, przypraw, czy rozmiary i kształty produkowanych puszek.

W chłodniach — magazynach Zakładów Mięsnych można się przekonać, że kształt opakowania jest równie ważny, jak jakość jego zawartości, a wszystko łącznie składa się na pojęcie chodliwości towaru na rynku zagranicznym. Anglosasi na przykład z szynek w puszkach typu „poolman", długich, przypominających swym kształtem miniaturowe wagony kolejowe, przygotowują porcjowane dania śniadaniowe. Anglika nie można przekonać, że szynka w opakowaniu typu „oblonk" jest tamże równie smaczna, jak w opakowaniu „poolman". Spełniając życzenia zagranicznego odbiorcy, szynki pakuje się również do puszek „mandolinowych" i „familijnych". O te ostatnie zwłaszcza w okresie przedświątecznym zabijamy się i my, Polacy, bo rzeczywiście te szyneczki są bardzo rodzinne.

Zanim przystąpimy do szczegółowszej prezentacji Zakładów Mięsnych, wspomnijmy jeszcze, że ich wyroby trafiają na rynek angielski, amerykański i południowoamerykański. Jak długo kombinat istnieje, nie miał jeszcze żadnej reklamacji. To obok wieloletnich tradycji produkcyjnych, także zasługa pracowni chemicznej i bakteriologicznej fabryki, z których pierwsza bada zgodnie z recepturą zawartość w produktach tłuszczu, białka, wody czy soli, druga zaś, na próbkach, ocenia zdatność wyrobów do konsumpcji. Niezależnie od tego technolog zakładów raz w tygodniu dokonuje szczegółowej degustacji, codziennie zaś degustacji cząstkowej z każdej partii produkcji. Nie jest to lekki chleb, czy też ściślej biorąc, nie jest to lekki kawałek mięsa. Choroba zawodowa degustatorów w tego typu zakładach jest zazwyczaj tusza, której trudno jest uniknąć, jeżeli dobrze chce się reprezentować interesy klienta. Można sformułować zasadę, że im większy brzuch posiada degustator, tym lepiej i uczciwiej spełnia swoje obowiązki. Niekiedy degustatora, niestety tylko częściowo, wyręczają w jego obowiązkach goście odwiedzający zakład, którym finezyjnie wkłada się do ręki kaski pachnących wędlin i zachęca do poczęstunku, ale najczęściej degustator jest skazany na siebie samego. Toteż degustator ze strachem myśli o zapowiedzianych nowych gatunkach i rodzajach wyrobów, które zostaną wprowadzone na rynek. Wszelkie innowacje przyczyniają się do zwiększenia porcji próbek, które degustator obowiązany jest posmakować. Doprawdy, ciężkie życie.

2.

„Krowy — jak powiedział w jednym ze swych młodzieńczych wierszy Józef Czechowicz — na zabicie są". I tyle właściwie wystarczy, nie roztkliwiajmy się zbytnio przy świątecznym stole nad ich losem nawet po kilku głębszych. Od chwili zetknięcia się z iglicowym aparatem typu „radical" do oszałamiania bydła, żywe do tej pory zwierzęta stają się już tylko mięsem. Mięsem zwisającym z haków, mięsem przenoszonym poprzez hale produkcyjne na konwojerach, mięsem ćwiartowanym, peklowanym, mielonym, zamrażanym, wędzonym. Mięsem gotującym się w ogromnych szafach — parzelniach. Po całym terenie zakładów, a nawet za fabrycznym parkanem, rozchodzi się intensywny zapach wędzonki, od którego kręci w nosie, a bardziej jeszcze w żołądku. Wdychając te smakowite zapachy chciałoby się zaraz pokosztować tego mięsa.

Połowa mniej więcej produkcji Bydgoskich Zakładów Mięsnych w najrozmaitszej postaci, od bekonów poprzez konserwy, smalec, wędliny, po mięso surowe, trafia na nasze stoły, pozostała część wędruje za granicę. Obok dostarczania dewiz i opinii rzetelnych producentów, eskportowe wyroby spełniają jeszcze jedno, rzadko sobie przez nas uświadamiane, zadanie.

Dla emigracji polskiej w Stanach Zjednoczonych czy Anglii krajowe przetwory mięsne są wizytówką polskości. Dotyczy to zwłaszcza kiełbas wysyłanych za granicę z przeznaczeniem dla Polonii, która dzięki temu może sobie przypominać smaki swego dzieciństwa i młodości. Dla rodaków za oceanem taka kiełbasa nie jest zwykłym sobie kawałkiem mięsa; jest ona także kawałkiem ojczyzny. Dlatego na przykład, spełniając życzenie radiosłuchaczy, którzy prosili o to w listach, specjalnie dla Polonii, przedstawiciel rozgłośni „Kraj" przeprowadził z dyrektorem Urbaniakiem wywiad świąteczny na temat wyrobów Bydgoskich Zakładów Mięsnych. Na dowód tego załączam do reportażu etykietkę popularnej wśród naszej Polonii kiełbasy krakowskiej, suchej.

Prawdę powiedziawszy nasze eksportowe wyroby mięsne przestały być tylko wizytówką polskości za granicą, gdyż jak się to powiada w żargonie specjalistów jesteśmy „dobrze wprowadzeni" na światowy rynek, co jest zasługą przedsiębiorstwa „Animex", polskiego odpowiednika „John Loudon". Obserwując te sukcesy, trudne nawet do porównywania z raczkowaniem Bekon-Eksportu, popularny pisarz amerykański Salinger, który z polecenia swego ojca, handlowca, przechodził praktykę w bydgoskim oddziale Bekon-Eksportu Gniezno, nie wyrzekłby się może tak łatwo zawodu narzucanego mu przez zapobiegliwą rodzinę. Rzecz interesująca wśród dawnych pracowników Bekon-Eksportu takich jak Sylwester Kowalski, inż. Jan Szpoper czy Jan Kłosowski nikt nie pamięta amerykańskiego praktykanta, który zrobił światową karierę w literaturze.

Dezercji Salingera nie trzeba się specjalnie dziwić, to nie jest lekka praca, praca „w mięsie". Pomimo to przyzakładowa szkoła spożywcza, która co roku wypuszcza nowe kadry wykwalifikowanych pracowników, nie narzeka na brak kandydatów. Niektórzy z nich pną się potem mozolnie po szczeblach wiedzy fachowej podejmując naukę w zaocznych technikach. Najwartościowszych specjalistów wypuszczają wydziały chemii spożywczej politechnik. Taki wydział skończył w Łodzi dyrektor Bydgoskich Zakładów Mięsnych. Dzięki sentymentowi, jaki Władysław Urbaniak do dziś żywi dla naszego miasta, przy zbieraniu materiałów do tego reportażu miałem nieco bardziej ułatwione zadanie niż moi koledzy radiowcy z Warszawy.

Wczesnym rankiem, gdy jest jeszcze ciemno, na teren zakładów podjeżdżają samochody i otwierają się drzwi magazynu ekspedycji. Skrzynki wyładowane mięsem, wędlinami i puszkami wędrują do chłodzonych wnętrz pojazdów. Wyroby, które czeka dłuższa droga, ładuje się do wagonów. Zwolnione w magazynach miejsce jeszcze tego samego dnia zajmą przetwory z nowej partii produkcji.

Jeśli na twój stół świąteczny trafi przypadkiem puszka z szynką produkcji Bydgoskich Zakładów Mięsnych, poznasz ją natychmiast pomimo anonimowości etykietki. Będzie ci bowiem tak smakowała, że natychmiast zamarzysz o następnej.

Jan Krajewski

O STUDENCIE CHORYM

Jeden student do ojca pisał bardzo chory
Dla potrzeby o pieniądz prosząc, i doktory,
Więc pisze: „przysyłaj mi ojcze, co napręcej
Bo mnie podobno żywym nie oglądasz więcej,
Gorączka mnie upiecze". A ojciec, rad temu
Odpisał: „Po pieniądzach już nic umarłemu".

MIKRO-PORTRETY Odgłosów

ANIELA MAJDE

W roku 1966 koszykarki ŁKS, zdobyły wicemistrzostwo Polski, zaś pani Aniela została królową strzelczyń, pierwszej ligi. Zdobyła w ciągu sezonu aż 410 punktów dla swoich barw i walnie przyczyniła się do niebagatelnego sukcesu.

Ma 24 lata. Ukończyła warszawską AWF. Wraz z innymi łodziankami koleżankami klubowymi — Zdzisławą Ogłozińską i Mirosławą Sokół — stanowi podporę drużyny narodowej. Jest wysoka (jak na kobietę) i raczej niska (jak na koszykarkę). Ma 172 centymetry wzrostu (Ogłozińska liczy sobie 179 cm, najwyższa koszykarka w Polsce — From — 186 cm, a najwyższa koszykarka na świecie, Salimowa, 202 cm).

W bieżącym sezonie nasze koszykarki przegrały tylko jeden mecz. Z krakowską „Wisłą". Do przerwy prowadziły wprawdzie 31:30, ale potem coś zaczęło się psuć i zeszły z boiska pokonane. W ten sposób straciły przodownictwo w ekstraklasie i spadły na drugie miejsce.

Pani Aniela jest jednak optymistką. O mistrzostwie Polski na rok 1967 zadecyduje rewanżowy mecz z „Wisłą" i mecz ten odbędzie się w Łodzi. Doping, życzliwa atmosfera, odpowiednie przygotowanie kondycyjne i psychiczne — wszystko to powinno zrobić swoje...

Jest więc nadzieja, że już niedługo dziewczęta z ŁKS staną na najwyższym podium, zaś królową strzelczyń zostanie ponownie łodzianka.

MARIAN MAMROT

Nasz bohater ma w tej chwili osiemnaście lat. Niedawno, parę zaledwie tygodni temu, otrzymał od Prezydium DRN we Wrocławiu złoty zegarek za uratowanie dwojga tonących dzieciaków. Warto dodać, że wdzięczny Wrocław prawie dwa lata poszukiwał bezimiennego śmiałka, aby ustalić w końcu, że jest nim łodzianin: Marian Mamrot.

— Było to — wspomina Marian — 19 grudnia 1964 roku. Szedłem brzegiem jednej z odnóg Odry i usłyszałem krzyk, a potem zobaczyłem, że pod dwoma chłopcami zapadł się lód i toną. Zacząłem tam biec; żeby nie tracić czasu — rozbierałem się po drodze, ciskając za siebie palto, szalik i inne części garderoby. Rzekę przecinał szkielet mostu. Wdarłem się na poręcz i skoczyłem. Na powierzchni trzymał się wówczas już tylko jeden topielec. Za drugim musiałem nurkować. Trzy razy. Dowlokłem ich do brzegu za włosy i odszedłem, bo zbiegło się dużo ludzi, nie byłem więcej potrzebny.

No i później Dzielnicowa Rada Narodowa Wrocław-Fabryczna „poszukiwała mężczyzny, który wyłowił ze skutej lodem rzeki dwoje dzieci. Jedno dziecko miało dziewięć lat, drugie piętnaście"... Trzecie zaś, ów bohater, ów domniemany mężczyzna, szesnaście...

Marian jest skromnym chłopcem. Uczy się w zgierskim Technikum Chemicznym i marzy, aby po maturze, którą otrzyma w tym roku szkolnym, zdawać na Politechnikę Łódzką.

— Nie wiem — powiada — czy mi to się uda.

My natomiast, po rozmowie z Marianem, jesteśmy tego pewni. No, już tak na wszelki wypadek, będziemy trzymać kciuki.

LEON GOMOLICKI

Urodził się w 1903 r. w Leningradzie. Wychowany na kresach wschodnich miał ścisły kontakt z kulturą rosyjską; jest znakomitym rusycystą, autorem m. in. prac „Mickiewicz wśród Rosjan" oraz „Wielki realista — Aleksander Puszkin".

Jako prozaik — zadebiutował w roku 1959 zbiorem opowiadań: „Wieczory nad Łódką" i powieścią „Ucieczka". Od razu znalazł się w czołówce polskich prozaików. Obecnie — ma już w swoim dorobku siedem powieści, z których ostatnie, to „Owoc z gryzszpanem" i „Wyprawa na Patmos".

Ulubionymi polskimi prozaikami Leona Gomolickiego są: Brandys, Adolf Rudnicki i Andrzejewski. Z literatury powszechnej — najwyżej ceni klasyków rosyjskich oraz współczesnych pisarzy francuskich z Albertem Camusem na czele.

Leon Gomolicki pracuje jako redaktor w Wydawnictwie Łódzkim. Na pisanie poświęca cały wolny od zajęć redakcyjnych czas, a więc wieczory, dni świąteczne, a także urlopy.

Literatura, według Leona Gomolickiego, to żywioł. Żywioł, który powinien angażować intelektualnie i emocjonalnie, zarówno twórcę jak czytelnika. Fabułę powieści, czy powiedzmy — tok powieści, może prowadzić każdy gatunek literacki: esej, reportaż, felieton i opowiadanie. Formę wyznacza treść, nie odwrotnie: Dobra proza nie realizuje wymogów gatunkowych. Ona tworzy integralne systemy i konstrukcje.

Najbliższe plany Gomolickiego, to powieść o współczesności jako pojęciu abstrakcyjnym, oraz powieść o matce pisarza. Zadaniem autora będzie tu m. in. dokonanie analizy procesu twórczego i przedstawienia swoich poglądów na literaturę.

WACŁAW BILIŃSKI

Radość życia

1.

Jak zacząć tę opowieść? Może tradycyjnie, i na sposób bajkowy: „Za górami, za lasami żył człowiek, który otrzymał od losu najrzadszy i najcenniejszy dar: przywilej dożywotniego „radowania się życiem". A może zrelacjonujmy to inaczej — choćby tak: „Nasz bohater to przykład niezwykłej żywotności, to dowód, że pogoda ducha stanowi istotny składnik każdego skutecznego eliksiru młodości..." A może po prostu zacząć naszą historię od swoistej wizji lokalnej, która tak nasyciła spragnione optymizmu serce reportera? Więc opowiadajmy od początku...

2.

Istotnie: odnaleźliśmy naszego bohatera za górami, za lasami, choć województwo nasze płaskie i bezleśne. Ale tam, za Radomskiem, lasów sporo a i teren falisty, zaczyna się przecież Wyżyna Częstochowska. Wreszcie wjeżdżamy do ostatniej już w powiecie wioski, dwa kilometry dalej — i zaczyna się województwo katowickie. Tu się zatrzymujemy. Więc trochę topografii: szosa zaraz za pierwszymi domami wioski ostro skręca, już widać piękny zabytkowy kościół i barokowe zabudowania klasztorne, a także signum temporis, czyli świeżo otynkowaną szkołę tysiąclecia. Wskażmy jeszcze ważny trzeci punkt tego centrum, budynek plebanii. W samym środku tak wyznaczonego trójkąta nasz samochód. Staje akurat u furty domku, murowańca z mansardą, zwyczajnego dla okolicznych wsi i miasteczek, który choć skryty za gęstymi krzewami, przecież natychmiast przyprawia nas o osłupienie. Stoimy i gapimy się, bo czegoś takiego jeszcześmy w naszych kilkunastoletnich reporterskich wędrówkach nie widzieli. Domek jest niezwykły, zza krzaków spogląda filuternie jednym oknem na klasztor, a drugim na tysiąclatkę, a całą wolną przestrzeń fasady zajmuje ogromne malowidło przedstawiające w mocnych, wyrazistych barwach jakaś bardzo dziwną scenę: osłupiali przyglądamy się tej biblijnej scenie, oto nad rudą i biało-różową, zupełnie nagą kobietą nachylają się murzynki jej służebne. Scena ma parę metrów wysokości, wyjaśnia ją napis mówiący, że dziewicę izraelską jej służki szykują na oblubienicę króla assyryjskiego. Ablucje, muśliny, dosłowność aktów — i wszystko w arcyjaskrawych kolorach lakierów Nitro. Te akty wymalowane z naiwnym realizmem, są ponadnaturalnej wielkości, ich barwy i cały rysunek świadczą o całkowitym wyzwoleniu się z jakichkolwiek malarskich przymusów, reguł czy nawyków: tak mógł malować tylko ktoś zupełnie wolny, wyłącznie dla własnej radości, tylko dla samego siebie.

Uff, wrażenie jest mocne, istotnie warto było tu przyjechać — jak nam to doradził wszędobylski Zdzisław Konicki. Wielu jest malarzy-samouków, wielu z nich to ludzie ciekawi. Ale tu poznamy kogoś, kto jest zjawiskiem paradoksalnym: bowiem w naszych czasach, oschłych i nadmiernie rzeczowych, coraz częściej, niestety, za paradoks zaczynamy uważać, rabelaisowską radość życia. Dlatego tak nas zadziwia ta sylwetka — wypisz, wymaluj — polskiego Colasa Breugnona z pogranicza województw łódzkiego i katowickiego.

3.

Skrzypi furtka, nim ją zamkniemy, na nasze spotkanie wychodzi sam pan domu: krępy, siwy, o ruchach nie zdradzających ośmiu krzyżyków dźwiganych na barkach. Dziś pan Franciszek wygląda, pożal się Boże, opłakanie, jest schlastany wapnem, w poszarpanym waciaku, który przetrwać musiał srogie czasy. Witam gości! — mówi i jego młodą, siedemdziesięcioletnią twarz rozjaśnia zadowolony uśmiech. Przyjechaliście obejrzeć? — brzmi to nie bez dumy, jakoś tak z polska: ja tu na tej zagrodzie równy wojewodzie, no i dobrze znam prawa polskiej gościnności.

Więc jemy wyborne jabłka, jakich w mieście nie uświadczysz, i wędrujemy za gospodarzem, tam gdzie rozpoczęto właśnie nową budowę. „Jestem teraz za murarza, od drogi stawiam taki na półtora metra murek, wzdłuż całego sadu. A jak go skończę, to namaluję na nim, ho, ho, dopiero ludziom będzie dziwowisko, wiecie panowie, co namaluję? Już się do tego sposobię: kawałkami, scena za sceną, całą kurtynę Siemiradzkiego z krakowskiego teatru".

Patrzymy na ten murek, usiłując wyobrazić sobie Siemiradzkiego transponowanego na chropowatą, koślawą powierzchnię — i ani rusz: nasza wyobraźnia jest za uboga. A pan Franciszek triumfuje. „Na przyszłe lato będzie gotowe — zapewnia nas. — Wtedy koniecznie przyjedźcie. A na moim domu wszystkie malowidła już widzieliśta?"

Idziemy więc te malowidła oglądać. Więc najpierw ślepa, północna ściana: ogromny rycerz z armeńskiej baśni na koniu i z ognistym mieczem w dłoni ruszył już do ataku na wroga. Ale ten wróg nie interesował pana Franciszka, więc zamiast niego wymalował dwumetrową parę uśmiechniętych dzieci łowickich w ludowych strojach. A nad nimi „akt siedzący" — ponad wszelki wyraz ekspresyjny i potężnym biustem sięgający wierzchołków drzew w sadzie — wszystko lakierem nitro i tak, jakby w barwach miała się wyrazić nieokiełznana, aż krzykliwa radość.

Akty, akty, akty: pan Franciszek — co tu ukrywać — gustuje w nich, wymalował więc na swym domku po kilka na każdej ścianie. Pokazuje nam je i mruży filuternie oko: „A może wy nie chcecie tego oglądać?" — pyta, chrząka i naraz aż zanosi się niefrasobliwym śmiechem. — „Chciałbym zobaczyć — mówi, ocierając załzawione ze śmiechu oczy — chciałbym zobaczyć takiego mężczyznę, który tego nie lubi. Chociaż nie każdy się przyzna..."

4.

Wspomniałem przed chwilą o paradoksie: nie zawiera się on tylko w tym hucznym, naprawdę *wesołym* śmiechu, (tak nas zaraziła literatura lękiem śmierci, kompleksem tragicznego przemijania, że wesołość człowieka starego zawsze nas dziś nieco dziwi) i nie tylko w fakcie, iż wiejski domek pokryły najdziwaczniejsze zaiste malowidła 70-letniego w malarstwie debiutanta. Paradoks — jak się za chwilę okaże — będzie jeszcze bardziej zaskakujący.

Siedzimy w pokoju pana Franciszka i jemy arcysmaczne gruszki. Na ścianach, w ramkach, wiszą niezliczone dyplomy i nadania wysokich odznaczeń. Gapimy się na te dokumenty i na pożółkłe wycinki z gazet, świadectwa burzliwego, czynnego życia. No i słuchamy. A pan Franciszek opowiada o sobie.

„Więc, proszę, nie myślcie tylko, że macie do czynienia z jakimś pacykarzem. Był czas, że miałem coś ważniejszego do roboty: i wtedy, kiedym tu „za kryzysu" przyjechał, gdy w rodzinnym Sosnowcu już za bardzo mi policja deptała po piętach. Rzuciłem biedaszyby i tu, w majątku waszego łódzkiego Geyera wziąłem się za ciesiołkę. A był ze mnie cieśla nielichy!"

Takie stwierdzenie należy traktować nie jako chełpliwość. To raczej przenośnia: bo wyczytujemy z dokumentów, iż ta ciesiołka (więc Colas to brat i w zawodzie!) — to były również i strajki oraz konspiracja partyjna jeszcze przed wojną, i partyzantka w latach okupacji. Pan Franciszek nosił wtedy pseudonim „Obcy" i był organizatorem i dowódcą bojowych, dywersyjnych plutonów AL w powiatach radomszczańskim, częstochowskim i włoszczowskim. A potem był okres budowy nowego państwa, pełen niebezpieczeństw na tej głuchej wsi w terenie penetrowanym przez NSZ. Pan Franciszek otrzymał wtedy nie tylko Krzyż Partyzancki — ale i niejeden wyrok śmierci.

Były czasy... — wzdycha nasz gospodarz. Wydaje mi się, że w tym westchnieniu mimo wszystko słyszę nutkę tęsknoty za młodością. Zresztą przecież nie pierwszą, bo w owych burzliwych latach miał pan Franciszek już swoją pięćdziesiątkę z okładem. Jeszcze piętnaście lat — i przyszła emerytura, „okres wypoczynku". Zmęczony marzy o odpoczynku, lecz dla człowieka pełnego życia przymusowa bezczynność może być prawdziwą klęską. Po tej zaiste głębokiej sentencji możemy wreszcie zająć się genezą narodzin malarskiej pasji pana Franciszka.

5.

Zanotowałem słowa pana Franciszka: „Wszyscy się jakby zmówili, żeby mnie twarzą do grobu ustawić. A ja się wcale nie czuję stary. I nie myślę o śmierci. Po co o niej myśleć, drapał ją pies!"

A więc taka była geneza: panie Franciszku, teraz, na emeryturze, niech pan sobie odpocznie! Ludzie, ja nie chcę odpoczywać, ja chcę coś robić! Towarzyszu Franciszku, za zasługi należy wam się odpoczynek! Pszczoły hodujcie, na słoneczku jesienią posiedźcie. Towarzysze, ja nie potrafię być bezczynny! Ależ nieznośny staryk — orzekli zgodnie partyjni i bezpartyjni — ależ wścibski, gdzie go nie posieją, tam wyrośnie.

I tak do wszystkich prawdziwych, *typowych* konfliktów naszych czasów dołączył się i konflikt pana Franciszka z otoczeniem. Konflikt — jak ze scenariusza żartobliwego, pogodnego filmu. (raczej francuskiej produkcji, niż polskiej). Bo gdy po raz setny nasz bohater usłyszał, iż pora by wypocząć po burzliwym życiu — („wypoczywać po życiu to przecież jakby już nie żyć. A ja jeszcze żyję!") — po którejś z rzędu takiej uwadze pan Franciszek zeźlił się co się zowie.

— „I wtedy postanowiłem im wypłatać figla: znalazłem reprodukcję z tą oblubienicą izraelską. I pomyślałem, że wymaluję ją na całą ścianę, niech widzą co dzień, że jeszcze się i kobietą potrafię zachwycić. A to chyba najlepszy dowód, że żyję?"

I tak powstały te malunki, budząc zrazu osłupienie, potem zgrozę i protesty. Wszyscy protestowali — śmieje się pan Franciszek i wylicza: — Najpierw ksiądz, potem dewotki, potem paniusie z komitetu rodzicielskiego, że to niby zgorszenie — tu mruga nasz buntownik znacząco. — Panie, moje malunki i zgorszenie: to by nie było źle, jakby dzisiejsza młodzież gorszyła się od takiego widoku. A na końcu zaczęli protestować towarzysze, że to nie wypada, bo ja jestem rewolucjonista. Alem ich zaraz odpalił, że dla mnie rewolucja to nie był żaden klasztor. Że dla mnie rewolucja, to było prawo do radości z życia...

6.

Tak powiedział nam pan Franciszek — jeden z najdziwniejszych ludzi poznanych w roku 1966. Radość Życia, nad tym warto pomyśleć, byliśmy co do tego zgodni, tak jak zgodziliśmy się też i w kwestii dotyczącej sensu wszelkiej sztuki: że powinna ona wypełniać życie, czynić je piękniejszym. I chyba — mimo iż brzmi to jak herezja — weselszym. Ale ze sztuką nie ma żartów! Widzicie, wyznał nam pan Franciszek, zaczynałem malować trochę na udry: w siedemdziesiątym roku życia po raz pierwszy wziąłem pędzel do ręki, trochę może i z przekory. A potem zaczęło mi to sprawiać przyjemność. Coraz większą. I teraz już bez tego nie mogę: ściany domku mi się skończyły, więc przez zimę wymaluję go od środka, a na wiosnę zabiorę się za ten specjalnie zbudowany murek. Będzie Siemiradzki, że ludzie gęby rozdziewią. Niech pan przyjedzie obejrzeć.

Panie Franciszku! Na pewno przyjedziemy!

MIKRO-PORTRETY Odgłosów

Stefania Bieniaszczyk

Przez 37 lat była prządką. Obecnie pracuje jako instruktor w szkole przyzakładowej, gdzie naucza tajników sztuki przędzalniczej.

Urodziła się na Widzewie. Podobnie jak jej rodzice.

Podobnie jak jej rodzice, a potem — mąż, pracowała w fabryce Kona. Z tym okresem wiążą się dramatyczne przeżycia pani Stefanii. Niechętnie wraca wspomnieniami do tamtych dni — fale krwawo tłumionych strajków, szarże policji konnej, uparta walka o prawo do życia...

Po wyzwoleniu, kiedy fabryka Kona stała się własnością państwa i widzewskiej klasy robotniczej (nosi odtąd miano WZPB im. 1 Maja) — zaczął się dla Stefanii Bieniaszczyk nowy etap życia. Poza pracą zawodową — pełni cały szereg funkcji społecznych: przez siedem lat udziela się w komisjach rozjemczych, jest członkiem Plenum Rady Zakładowej, i radną w MRN z ramienia widzewskich włókniarzy. Za ofiarną działalność zawodową i społeczną zostaje odznaczona w 1955 roku medalem Dziesięciolecia Polski Ludowej. Dwukrotnie otrzymała wyróżnienie Przodownika Pracy.

Stefania Bieniaszczyk ma obecnie 58 lat. Jej najulubieńszą rozrywkę stanowią książki, teatr oraz prasa codzienna.

Nie mogłabym — mówi pani Stefania spędzić ani jednego dnia bez gazety. Wyrobiłam w sobie nawyk czytania. Z nawykiem tym nie potrafi konkurować ani radio ani telewizja. Muszę, po prostu, zacząć dzień od „Głosu Robotniczego" a skończyć na „Expressie".

Dużą troską otacza także pani Stefania ogródek działkowy, w którym spędza wolne od pracy chwile.

Jerzy Stanisław Zieliński

Jest pracownikiem naukowym, adiunktem Katedry Wysokich Napięć przy Politechnice Łódzkiej.

21 listopada br. otrzymał nagrodę PAN z dziedziny elektrotechniki, za cykl prac poświęconych analizie stanów nieustalonych (stan nieustalony może, na przykład, spowodować awarię w dopływie prądu do miasta albo nawet części kraju. Jest to problem związany z doskonałością urządzeń i umiejętnością ich eksploatacji).

Dr inż. Jerzy Stanisław Zieliński otrzymał to wyróżnienie w wieku 33 lat i jest dotychczas jednym z najmłodszych laureatów nagrody w dziedzinie elektrotechniki. Warto także podkreślić, że jest to jedyna w br. tego typu nagroda w Polsce.

Pan Jerzy ma na swoim koncie także inne wyróżnienia: w roku 1965 nagrodę III stopnia Ministra Szkolnictwa Wyższego, 3 nagrody w konkursach zorganizowanych przez Polskie Towarzystwo Elektrotechniki Teoretycznej i Stosowanej oraz nagrody za pracę społeczną w komisjach organizujących praktyki studenckie.

Jest rdzennym łodzianinem. Ukończył III TPD i brał udział w uroczystościach 50-lecia tej szkoły. Jego hobby — to turystyka, sport motorowy, i, ostatnio, zupełnie nieoczekiwanie — filatelistyka, z której jeszcze niedawno gotów był drwić.

Ale prawdziwą pasją inżyniera Zielińskiego jest praca naukowa. Przynosi mu najwięcej satysfakcji.

Obecnie dr inżynier Zieliński przygotowuje pracę habilitacyjną.

Edward Ciuksza

Jest dyrygentem i kierownikiem artystycznym Orkiestry Mandolinistów Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. Zresztą — kto o tym nie wie? Przecież pierwszy występ radiowy pana Edwarda i jego zespołu miał miejsce w kwietniu 1945 roku, na krótko przed ostateczną klęską hitlerowskiej Rzeszy, i występ ten, jak powieść w odcinkach, trwa nieprzerwanie do dziś.

Nie będziemy więc opisywać twórczości pana Edwarda, z którą obcujemy codziennie, od tak dawna; nie będziemy także wyliczać trofeów i odznaczeń, które zebrał za swoją pogodną muzykę. Chcielibyśmy raczej odkryć drugą stronę medalu.

Ciuksza ukończył Wydział Pedagogiczny Wyższej Szkoły Muzycznej w Wilnie. Po wyzwoleniu, obok muzyki, pracował również jako notariusz, był tłumaczem przysięgłym, zna doskonale języki rosyjski, litewski, białoruski i ukraiński, lubi kołduny litewskie, szaszłyk barani, natomiast big-beat, czyli mocne uderzenie, jest dla Ciukszy — jak sam mawia — ciut ciut za mocne. Ulubieni kompozytorzy — to stara, dobra szkoła: Borodin, Czajkowski i Glinka. Z nowych gwiazd piosenki faworyzuje kulturalnego Presleya.

Z tym Presleyem, to była w Łodzi niezła sensacja. Pierwszego kwietnia spikier radiowy zapowiedział, że król Rock and Rolla wystąpi gościnnie z łódzkimi mandolinistami. I... rzeczywiście: na tle zespołu Elwis zaśpiewał spokojną balladę o miłości. Do rozgłośni posypały się listy; ludzie podejrzewali primaaprilisowy żart — nie wierzyli. W parę dni potem wyjaśniono, że Edward Ciuksza dokonał nagrania trickowego. Znowu posypały się listy. Znaleźli się tacy, którzy nie dawali wiary wyjaśnieniom. Do dziś nie wiadomo, czy to żart był tylko, czy też Presley rzeczywiście był w Łodzi...

ROZMAWIAŁ: MACIEJ WYSOCKI
ZDJĘCIA: GERARD PUCIATO

Film 66

Na firmamencie filmowym po długiej epoce kultu gwiazd młodzieżowych, zabłysły ostatecznie kobiety trzydziestoletnie; Jane Fonda, Raquel Welch, Ursula Andress. Nawet B. B. przekroczyła już rubikon trzydziestki. Dojrzałość stała się więc atrybutem gwiazd.

* * *

Julie Christie („Billy Kłamca") laureatka Oscara, młoda „antygwiazda" angielskiego kina, stała się jedną z najpopularniejszych aktorek świata. Jej kolejnym sukcesem był film Truffauta „Fahrenheit 451".

* * *

Rok miniony obfitował w sensacyjne wydarzenia natury towarzyskiej:

Brigitte Bardot poślubiła w Las Vegas słynnego playboy'a i milionera o romantycznych upodobaniach — Gunthera Sachsa.

Sofia Loren poślubiła w Paryżu swego wieloletniego męża Carlo Ponti.

Gina Lollobrigida przeprowadziła w Rzymie separację ze swym wieloletnim mężem Milko Skoficem.

Anita Ekberg po poważnej kuracji odchudzającej, ścięła włosy i pomalowała je na ciemny kolor.

Do Polski przyjechał z kurtuazyjną wizytą Kirk Douglas.

* * *

Na naszych ekranach zadebiutowali m. in.: Ilona Kuśmierska, („Lenin w Polsce"), Stefan Knothe („Zawsze w niedzielę"), Irena Szczurowska („Ktokolwiek wie", „Piekło i niebo"), Edward Lubaszenko („Ktokolwiek wie"), Andrzej Antkowiak („Kochankowie z Marony"), Janusz Suttner („Niekochana"), Krystyna Mikołajewska („Sobótki" i „Faraon").

* * *

Ukazał się nowy miesięcznik pt. „Kino".

* * *

Film Jerzego Skolimowskiego pt. „Bariera" otrzymał Grand Prix na festiwalu w Bergamo, a film pt. „Sublokator" Janusza Majewskiego otrzymał nagrodę Fipresci na festiwalu w Manheim.

* * *

Po raz pierwszy film obozu socjalistycznego otrzymał najwyższe odznaczenie amerykańskie — Oscara. Oczywiście film czeski — Klosa i Kadara „Sklep przy głównej ulicy".

* * *

Po długoletniej przerwie Charlie Chaplin przystąpił do realizacji nowego filmu pt. „Hrabina z Hongkongu". W roli głównej Sofia Loren. Oprócz niej w filmie gra pięcioro chapliniątek.

* * *

Z FILMÓW NA POLSKICH EKRANACH SZCZEGÓLNIE NAM SIĘ PODOBAŁY:

■ „Sklep przy głównej ulicy" Klosa i Kadara, jeden z najbardziej wstrząsających i najbardziej humanistycznych zarazem filmów naszych czasów.

■ „Rudobrody", wielkiego Japończyka Kurosawy, rzecz o sensie ludzkiego działania.

■ „Ja, Julinka i koniec wojny" Kachyny, jedno z dzieł odkonwencjonalizujących stereotypowe widzenie dramatu wojny.

■ „Czerwona pustynia" Antonioniego, wspaniała symfonia form i barw na użytek alienacji.

■ „Pan do towarzystwa" de Broki, urokliwy i przemądry film o lenistwie jako matce wszelkich cnót i pogrzebie poezji na co dzień.

■ „Człowiek z Rio" de Broki, bardzo dowcipny i finezyjny pastisz filmów awanturniczych, pochwała fantazji, która potrafi zwyciężyć nawet nowoczesną technikę.

■ „Viva Maria" Malla, pysza zabawa z udziałem dwóch znakomitych i pięknie ubranych aktorek Jeanne Moreau i Brigitte Bardot.

■ „Sposób na kobiety" Lestera, zwariowana komedia wykpiwająca stereotypy życiowe i filmowe też.

Z filmów polskich najbardziej przypadły nam do gustu:

■ „Faraon" Jerzego Kawalerowicza, owoc konsekwentnej koncepcji artystycznej i wirtuozerii warsztatowej.

■ „Bariera" Jerzego Skolimowskiego, spowiedź dziecięcia wieku.

* * *

Najbardziej dyskutowanym i kontrowersyjnym filmem roku był niewątpliwie „Mondo Cane" Jacopettiego.

* * *

Rok miniony był rokiem dalszych nieprzerwanych sukcesów kinematografii czeskiej, czego i w przyszłym roku jej życzymy. Obok nowych filmów Nemeca, Kachyny, Chytilovej itd., pojawiły się nazwiska debiutantów i to znakomitych np. Jiri Menzla, twórcy filmu „Pociągi pod ostrym nadzorem".

* * *

Twórczy ferment ujawnił się w kompletnie dotąd jałowej i komercjalnej kinematografii zachodnioniemieckiej. Czołowymi reprezentantami niemieckiej nowej fali są: Ulrich Schamoni („Ono"), Petter Schamoni („Czas ochronny dla lisów"), V. Schlöendorff („Niepokoje wychowanka Toerlessa"), J. M. Straub („Niepojednani"). Wymienione filmy są oczywiście interesujące formalnie, ale ich zasadnicza wartość tkwi w polemicznej i nonkonformistycznej postawie społecznej i ideowej młodych reżyserów.

* * *

Jako ulubionych reżyserów roku typujemy Karela Kachynę, autora podejmującego tematy najtrudniejsze i najsubtelniejsze i umiejącego w każdym skrawku rzeczywistości odnaleźć autentyczną poezję; znakomity tandem Klosa i Kadara — wielkich moralistów naszych czasów kontynuujących swymi filmami tradycje klasycznego humanizmu; Philippe de Broka „ambasadora republiki marzeń", rzecznika dionizyjskiej radości życia, wybujałego indywidualizmu, fantazji, poezji i niefunkcjonalności.

Podsłuchała, spisała i pod choinkę położyła

MARIA KORNATOWSKA

Dużo pisano i mówiono o:

■ Filmie Alain Resnaisa **„WOJNA SIĘ SKOŃCZYŁA".** „Świetny i zmuszający do myślenia film o rewolucji i miłości, o czasie i przemijaniu".

(krytyk francuski)

■ **„WOZIE DO WIEDNIA"** Karela Kachyny, chyba najbardziej kontrowersyjnym i odważnym filmie ostatnich lat. „Niemcy powiedzą, że jest to film antyniemiecki, Czesi, że antyczeski, partyzanci, że antypartyzancki. Mam jednak nadzieję, że kulturalny widz zrozumie trudną drogę jaką dobrowolnie wybraliśmy. Jest to przede wszystkim film przeciw sztywnym konwencjom i zaściankowemu nacjonalizmowi".

(J. Prochazka, scenarzysta filmu)

■ Nowym filmie Bressona **„NA LOS SZCZĘŚCIA, BALTAZARZE".** „Film, w który włożyłem najwięcej samego siebie. Nie powstał on pod wpływem lektury i dlatego tu lepiej niż gdziekolwiek indziej widać, jak bardzo różnią się stosowane przeze mnie środki wyrazu od używanych zazwyczaj w kinie".

(Bresson)

■ **„MĘŻCZYŹNIE I KOBIECIE"** Claude Lelouche, (Grand Prix w Cannes). Film proponuje widzowi pewną dojrzałą wiedzę o życiu, subtelność psychologicznej analizy, a jednocześnie widowisko pełne wielkiej urody".

(Michałek)

■ **„PIĘŚCIACH W KIESZENI"**, Marco Bellocchio. „Reżyser wydaje się być urodzonym dla kamery filmowej, tyle znajdujemy w jego pierwszym filmie umiejętności posługiwania się techniką, tyle prawdziwego mistrzostwa... Dla Bellocchio, kamera jest narzędziem, przy pomocy którego można opowiadać o świecie nonsensu i zbrodni".

(Krytyk włoski)

■ **„PTASZKACH I PTASZYDŁACH"**, Pier Paolo Pasoliniego. „Próbka powiastki filozoficznej w stylu Diderota czy Woltera o kryzysie współczesnego lewicowego intelektualisty".

(Michałek)

■ Japońskim filmie Kazuro Kuroki — **„CISZA NIE MA SKRZYDEŁ".** „Ideą filmu są słowa Maughama — „Wielką tragedią życia jest nie to, że ludzie umierają, lecz to, że przestają kochać". Kuroki mówi w swym filmie, że pożądanie jest nienasycone, że miłość i nienawiść stanowią często jedno, że samotność rozbudza namiętność, że miłość musi zwiędnąć, udusić się, jak motyl w pajęczynie, że miłość przychodzi i równie gwałtownie odchodzi, że miłość jest okrutna i niszczycielska i że nie sposób przed nią uciec".

(krytyk japoński)

■ Filmie Karela Reisza — **„MORGAN CZYLI PRZYPADEK DO WYLECZENIA".** „Morgan to niewątpliwie przypadek szczególny, skrajny, ale w jego ekstrawagancjach można odnaleźć echa marzeń i fantazji każdego przeciętnego człowieka. Różnica polega na tym, że Morgan nie chce iść na żaden kompromis wobec społeczeństwa, większość zaś ludzi rezygnując z marzeń, przystosowuje się do rzeczywistości. Jeśli zgodzimy się, że współczesne społeczeństwo usiłuje pozbawić człowieka swobody, integralności, indywidualnych uczuć np. miłości, musimy przyznać, że jedyną przystanią indywidualizmu staje się ucieczka od rzeczywistości".

(krytyk angielski)

■ **„FALSTAFFIE"** Orsona Wellesa. „Falstaff nie tracąc nic ze swojej siły komicznej staje się w filmie Wellesa rzecznikiem radości życia, nienawiści do wojny, swoistej godności".

(krytyk polski)

■ Film Rene Clementa **„CZY PARYŻ PŁONIE?"** Jest to na poły dokumentalna, na poły fabularna relacja o trudnych dniach Paryża w sierpniu 1944 roku. Generał Choltitz otrzymał od Hitlera rozkaz zniszczenia stolicy Francji. Wojska alianckie były oddalone o 100 km. Czy Paryż spłonie? W filmie Clementa wyznaczyły sobie rendez-vous najpopularniejsze gwiazdy filmowe od Wellesa do Belmondo, od Perkinsa do Delona.

■ **„BITWIE O ALGIERIĘ"** Gillo Pontecorvo (Złoty Lew w Wenecji). „Gdyby nie istniał film Griffitha, nadałbym „Bitwie o Algierię" tytuł „Narodziny narodu". Taki jest bowiem sens tej opowieści, a tym co nas najbardziej poruszyło jest upór i desperacka wola walki Algierczyków o niepodległość".

(Pontecorvo)

Złote myśli gwiazd filmowych

„Cudowność, fantastyczność, nadzwyczajność, „szok", nosi się zawsze w sobie" — JEAN PIERRE CASSEL.

○

„Uważam, że wstąpienie w stan małżeński przypomina wstąpienie do klasztoru. Bardziej niż miłość, konieczne jest moim zdaniem, niezłomne powołanie" — CLAUDIA CARDINALE.

○

„Miłość wymaga rezygnacji z własnej osobowości. Ale niestety, im człowiek jest inteligentniejszy tym bardziej wewnętrznie złożony i tym trudniej przychodzi mu zrezygnować z siebie. Tylko prostaczkowie kochają bez egoizmu, ponieważ nie mają żadnych trudności w całkowitym oddaniu się". — CHARLTON HESTON.

○

„Mój zawód mam we krwi. Żyję, więc kręcę filmy". — SOFIA LOREN.

○

„Namiętność jest najpiękniejszą przygodą, jaka może spotkać istotę ludzką. Ale jaki to ma związek z małżeństwem?" — BRIGITTE BARDOT.

BOGDA MADEJ

Na 5 minut przed północą

Wszyscy znamy ten moment. Przeżywaliśmy to już kilkanaście albo kilkadziesiąt razy. Powtarza się co roku, regularnie co 365 albo 366 dni. Czas, który zatrzymuje się na chwilkę, gdy obie wskazówki zegara pokrywają godzinę dwunastą. Przyćmione światła, uśmiechy, życzenia okryte jednak nutką melancholii. Znów starsi, który to już Sylwester? Pamięć odgrzebuje wspomnienia tego pierwszego, tajemniczego, kiedy to pod nieobecność rodziców babcia pozwoliła czekać do północy i słuchać radosnej kanonady, potem ten najpiękniejszy, pierwszy sylwestrowy bal, a potem już, kolejno — udane i radosne, smutne i mniej przyjemne.

Sylwester — próg Nowego Roku, hasło do rozpoczęcia karnawału, najpopularniejszy wyraz w ostatnich dniach grudnia...

* * *

„Zwyczaj spędzania wieczoru sylwestrowego poza domem coraz bardziej się utrwala. Ogromna większość obywateli uważa, że witać Nowy Rok wypada tylko w miejscu publicznym. Kogo nie stać na bezapelacyjne poddanie się wyzyskowi restaurantów, ten szuka miejsca w teatrach, salach koncertowych, w kinematografach. Wszędzie, byle nie zostać w domu!"

Tak pisał w roku 1930 tygodnik ilustrowany „Świat". Dziś trzeba dodać, że zwyczaj się już utrwalił i wieczór sylwestrowy zdobył range wydarzenia w dość szerokich kręgach towarzyskich. Pod koniec starego roku witamy znajomych niedyskretnym pytaniem — gdzie się bawisz? Na początku nowego zmieniamy tylko czas — gdzie się bawiłeś? Pytanie, jak się rzekło, niedyskretne, bo często, dla podniesienia własnego autorytetu i przelicytowania znajomego, koloryzujemy nieco i wymieniamy prędko bal w tzw. „elitarnym środowisku", upewniwszy się przedtem, że nie było tam naszego rozmówcy. A kiedy już nic nie przychodzi do głowy szepczemy poufnie: — Wiesz, taka intymna prywatka. Ściśle grono, przednie trunki, o faantastyczne!

W związku z tym postanowiliśmy Państwu pomóc i dostarczyć garść sylwestrowych informacji i ciekawostek. Z góry się zastrzegam, proszę nie traktować absolutnie dosłownie cyfr, jakie będą tu wymieniane. Informacje były zbierane prawie na trzy tygodnie przed Sylwestrem i mogą wyniknąć z tego powodu drobne nieścisłości. Z tego samego powodu nie mogłam się na przykład dowiedzieć, ile dokładnie będą kosztować karty wstępu do „Agawy". Orientacyjnie — około 200 zł — na 1 „sylwestroosobę" i tak samo kosztować będzie wstęp do „Łodzianki", „Staromiejskiej" i „Jedynej".

Ale za to, i tu proszę o uwagę osoby mające kłopoty z opisywaniem sylwestrowego balu, pełną rekompensatę znalazłam w wypowiedzi kierownika „Tivoli", który bardzo malowniczo przedstawił szykujące się atrakcje, ze szczególnym uwzględnieniem obfitej konsumpcji, która w samej tylko „dziedzinie przystawek" będzie obejmować takie pozycje, jak: łosoś wędzony, szynka, polędwica, befsztyk tatarski, schab pieczony, sałatki, indyk w galadze, nie licząc już masła i pieczywa. Do tego dochodzi danie gorące, potem lody z bitą śmietaną, kawa, no i tradycyjne 100 gram. Ceny kart wstępu utrzymane w granicach średniej obowiązującej, a więc 200 zł od osoby. Nie jest to tak strasznie dużo, jeśli się weźmie pod uwagę, że w Klubie Studenta, gdzie można by się spodziewać bardziej „demokratycznych" cen, trzeba będzie zapłacić 190 zł, z czego na konsumpcję przeznacza się tylko zł 70.

* * *

Czego to się nie robi dla zabawy? W wielu instytucjach, wiele osób w grudniu obejmuje zaszczytne i odpowiedzialne funkcje organizatora balu, fryzjerzy męczą się w ostatni dzień roku nad naszymi głowami, krawcowe męczą się ciut wcześniej nad kreacjami, w przełomową noc męczą się zespoły muzyczne za kilkanaście tysięcy złotych. Dba o nas „Estrada" organizując „wesołki sylwestrowe" w kinach i teatrach. Nie zapomniał również „Orbis" i temu, kto nie chciał bawić się wśród rodaków, pomógł wyjechać za granicę. Około 100 łodzian będzie krzewić kulturę polską poprzez tradycyjne „sto lat" w Budapeszcie, Bukareszcie, Lipsku (5—6 dni — około 2.800 zł), w Pradze i w Jugosławii (przez 8 dni za 8.800 zł). O tym, że chętni się znaleźli bez trudu, najlepiej świadczy fakt, że wszystkie miejsca sprzedano w ciągu kilku dni.

Czytelnikom, którzy zdecydują się zamienić w towarzyskich konwersacjach skromną zabawę w rodzimym zakładzie pracy, na bal w lokalu kat. S w Budapeszcie, przypominam: — Nie dajcie się zaskoczyć pytaniem „a co przywiozłeś?"

* * *

„Czy kobieta, która tyle wydatków i trudu poniosła na uczynienie się piękną, czy taki szyld od modniarki może mieć prawdziwą ochotę do zabawy? I czy może się bawić rzeczywiście? U niej zabawa jest tylko pretekstem, a gruntem rzeczy ekshibicya fryzury, sukni i ozdób wszelkich. Ciągle ogląda się po sobie lub po drugich, drży o lada plamkę lub rozdarcie, lęka się wygodnie usiąść, lub stanąć, lub chodzić, słowem jest niewolnicą swojego ubrania" — Tygodnik Ilustrowany 1870 r.

Sporo chyba racji miał autor tych słów. Z rozmów z wieloma kobietami, niezbicie wynika, że za największą przyjemność całego Sylwestra uważają to, co mężczyźni nazwaliby dopiero wstępem. A więc wszystkie przygotowania, a przede wszystkim szycie nowej sukni, „robienie" twarzy no i najważniejsza chwila, gdy już zupełnie gotowa kobieta staje przed lustrem, żeby móc się podziwiać.

Jeszcze jeden moment jest dla kobiety ważny — wejście na salę, gdy uwaga wszystkich obecnych jest skupiona tylko na niej. I tutaj znów kilka rad dla tych Czytelniczek, które jeszcze nie zdążyły się zaopatrzyć w nową suknię. Można wprawdzie zajrzeć do salonu „Telimeny", może jeszcze coś zostanie, ale nie ma powodów do rozpaczy, jeśli trzeba będzie założyć starą. Jeśli idziemy w innym towarzystwie, to śmiało można udawać, że sukienkę przyniosłyśmy od krawcowej wczoraj. Moja dobra znajoma lansuje już od kilku lat hasło — „taniej jest zmienić partnera niż sukienkę" — i wcale nieźle na tym wychodzi, nie grzęźnie w styczniu w długach.

„Kiedy z nim wyjdziesz Pani wieczorem, włosy jej będą piękności wzorem" — „Piękne włosy za 3 minuty!" — Nic z tego, nie powiem co zrobić, żeby w ciągu 3 minut mieć wonne, puszyste, lśniące jak jedwab włosy. Przytoczony fragment reklamy „Suchego szamponu z Czarną Główką" znalazłam w „Tygodniku Ilustrowanym z roku 1930". W roku 1966 trzeba będzie udać się jednak do mistrza i odsiedzieć, przewidziane sylwestrowym regulaminem, kilka godzin.

Puder dobiorą sobie Panie same, a ja tylko o najważniejszym — usta mają być zrobione bardzo słabo, brwi nie należy czernić modny jest kolor naturalny, a przedtem trzeba je wyregulować w łagodny łuk. Wreszcie oczy! Oko jest najważniejsze i najbardziej eksponowane. Trzeba będzie zasmarować powiekę — kolor zależny jest od koloru toalety, włosów i oczu — aż po brwi, kreskę nad okiem — podaję za angielskim żurnalem i poradą doświadczonej kosmetyczki, — się maluje i koniecznie trzeba zrobić coś z rzęsami, które powinny być długie i gęste. Zwolenniczki trzepotania firankami sztucznych rzęs odsyłam póki czas do komisów.

Aha, a zanim przystąpimy do ważnego momentu — retuszu naszej urody, połóżmy się choć na pół godziny (fryzura!) z dobrym kompresem na oczach. To odświeża.

Wprawdzie mąż mojej przyjaciółki, słysząc nasze rozmowy machnął tylko ręką — proszę pani, mowy nie ma! I bez kompresu będziemy spóźnieni już ja wiem! Mimo wszystko wierzę, że w tym roku uda się nam, kobietom, ulepszyć przedsylwestrowe przygotowania.

Co będziemy tańczyć na sylwestrowym balu i podczas całego karnawału?

Mistrz Cyrulski powiada, że najmodniejszymi tańcami będą: „Western" i „Soft-Beat". Oba tańce raczej młodzieżowe, szczególnie pierwszy, nawiązujący do tradycji tańca cowboyskiego. Partnerzy oczywiście tańczą oddzielnie, a mężczyzna będzie musiał wykazać szczególnie dużo polotu, potrzebne będą i przyklęki i uderzenia w biodra i udawanie, że się strzela; w sumie zabawa, w której będą wiedli prym przede wszystkim miłośnicy westernu.

Oczywiście, oprócz tych nowości będzie się tańczyć także, a prawdopodobnie przede wszystkim, tańce tradycyjne, z nieśmiertelnym walcem i tangiem na czele. Pan Cyrulski z okazji karnawału apeluje do mężczyzn:

— Panowie, pamiętajcie, że na waszych barkach spoczywa ciężar odpowiedzialności za dobre samopoczucie waszych partnerek. Nie zapominajcie, że przyszliście na bal przede wszystkim po to, żeby się bawić i właśnie taniec, a nie bufet, choćby najlepiej zaopatrzony, jest najważniejszy.

Pamiętajcie, że taniec jest sztuką! Zafascynowani elegancją swoich tanecznych pas nie zapominajcie, że tańczycie z partnerkami.

Wszystkie panie uśmiechną się chyba pięknie w tym miejscu do pana Cyrulskiego. Czyż nie zasłużył na to?

Pora kończyć przedsylwestrowe notatki. Pora sprawdzić, czy wszystko co z Sylwestrem związane jest już załatwione.

Panowie mi wybaczą, że nie napisałam, jak umodnić garnitur, znacie się na tym lepiej od nas. Zresztą każdy mężczyzna, zapytany, co sobie kupił na sylwestrowy bal, niezmiennie odpowiadał: — krawat i butelkę szampana. Niech więc strzelają korki, szampan perli się w kieliszkach, niech wszyscy i wszędzie bawią się jak najweselej. Oby spełniły się wszystkie nasze noworoczne życzenia!

Jakub Trembecki

DO JEDNEJ

„Czemu to pani dajesz tę rzecz niejednemu,
Której ślubiłaś nie dać (krom męża) żadnemu?"
„Dawna moda, a zwłaszcza dworska, tego uczy:
Nie wadzi mieć do jednej kłódki kilka kluczy".

Wacław Potocki

NA MOJE WIERSZE

Wszyscy, którzy me wiersze czytają lub słyszą,
Chwalą je, prócz poetów, co je sami piszą.
Ci je ganią, lecz mnie to bynajmniej nie smęci,
Bo nie dbam o kucharzów, gdy goście kontenci.

ROMAN ŁOBODA

Teatry studenckie 1966 r.

III Ogólnopolski Przegląd Teatrów Studenckich ma już w Łodzi swoją małą tradycję i nasze duże uznanie. Nasze, bowiem krąg entuzjastów studenckich teatrów już dawno objął roczniki „poborowe". Ludzie, nawet ci w wieku dojrzalszym od dojrzałego, tłumnie walili do sal teatrów, chcąc ucieszyć swe młode dusze występami studentów. To nic, że niekiedy nogi cierpły ze stania a szyja bolała od wyciągania i przekręcania w stronę sceny. Na równi z młodziankami, którzy nie zdążyli zasiąść co żywo, trwali na nogach zaproszeni goście, nie zrażając się nawet łokciem uciskającym żebra. Niechaj jednak to ciche westchnienie pod adresem organizatorów (zmiany terminów i sal, nakładanie się w czasie najciekawszych spektakli, opóźnienia, brak kierowników względnie gospodarzy widowni itp.) nie zagłuszy oklasków, które jeszcze w uszach nam rozbrzmiewają i nie przyćmi faktu, że „Przegląd 1966 r., „był imprezą artystycznie udaną a nawet — w porównaniu z ubiegłym rokiem — dojrzałą.

Gościnnie, poza konkursem, występujący jeden z najlepszych studenckich teatrów belgijskich „Theatre de la Communaute" z Liege był nie tylko okrasą, był również dowodem rosnącego znaczenia i popularności imprezy łódzkiej. Zespół z Liege pokazał „Kartotekę" T. Różewicza wprawdzie nie od jakiejś nieznanej nam strony, ale za to na poziomie potwierdzającym dobre o nim opinie. Studenci belgijscy pozwolili również zajrzeć do swojej „kuchni aktorskiej". Był to pokaz metod „treningu" (postawa, dykcja, mimika i koncentracja sceniczna) podobnych tym, które stosuje Grotowski we wrocławskim teatrze „13 rzędów".

Drugi osobny rozdział „Przeglądu", to „Traktat" zespołu „Galeria" z Gdańska. Nie wiem jak sobie znakomici jurorzy (Kazimierz Rudzki — przewodniczący; Wojciech Boczkowski, Witold Dąbrowski, Jerzy Koenig, Stanisław Kaszyński, Maria Lorber, Karol Myśliwiec, Konstanty Puzyna) radzili z tym arcyciekawym, ale i arcywyjątkowym zjawiskiem. Że sobie poradzili, to fakt — bo wyróżnili realizatorów (J. Krechowicz i J. Hajdun) indywidualnymi nagrodami.

Wyróżnić, to bym i ja wyróżnił, z przyjemnością; ale gdyby ktoś zapytał — za co — miałbym wiele kłopotu. Może bym i znalazł jakąś wykrętną odpowiedź. Na przykład, że za widowisko, albo ogólniej — za dzieło... Przywykliśmy bowiem, że teatr to przynajmniej jeden aktor, kawałek aktora, palec aktorski, jego chociażby cień, głos lub kapelusz. A tu nic z tych rzeczy.

Przywykliśmy bowiem, że film, to przynajmniej ruchoma fotografia życia, natury: ziemi, gwiazd, głębin, mrówek, mikrobów chociażby. A tu nic z tych rzeczy.

Przywykliśmy bowiem, że obraz (dzieło malarza), to przynajmniej rzecz ograniczona w przestrzeni, nieruchoma zazwyczaj i niema. A tu nic z tych rzeczy.

Jedno, co w tym dziele było konkretne, to głos tego dzieła: muzyka... konkretna.

Widowisko, w którym dane nam było uczestniczyć, można chyba porównać do abstrakcyjnych, zmieniających swoją wewnętrzną strukturę i ruchomych obrazów. Jakby światy nieznane w powstawaniu lub rozpadzie; jakby mikro i makro — były w ciągłym wrzeniu. Światy te gwiżdżą, syczą, pomrukują, bulgoca i Bóg wie co jeszcze wyprawiają.

Prawdziwy teatr... no nie?

Chciałoby się jeszcze parę razy zobaczyć to nienazwane zjawisko. Fascynujące!

Natomiast jeżeli chodzi o „Boga deszczu" i magnetofon, to dostały się te dwie główne nagrody w dobre ręce. („Bóg deszczu" — nagroda symboliczna. Magnetofon — specjalna nagroda przewodniczącego Prezydium MRN — Edwarda Kaźmierczaka). Otrzymał je „Gest", znakomicie zbliżony w stylu do pantomimy uprawianej przez zawodowy teatr Tomaszewskiego. Oba teatry z Wrocławia. Miasto stało się metropolią pantomimy w Polsce. Zespół „Gest" ma w tym niemały udział. Program pt. „Dokąd" jest niebanalny. Szczególnie interesujące i z dużą finezją gestu wykonane zostały „Ich oblicza" i „Dokąd". Bardzo malarsko i zabawnie (okrutna zabawa) wypadli „Milusińscy". Z aktorów S. Pasternak i L. Nidzielski i M. Gołębiowski utkwili w pamięci.

Łódzki „Pstrąg" wystąpił z Gałczyńskim i Tuwimem. Były to: „Bal u Salomei" i „Bal w operze". Bale udane jak nigdzie. Nagrodzeni zostali J. Skotnicki za reżyserię (nagroda TPŁ) a Z. Żaliński i W. Bierkowski za aktorstwo.

A w ogóle dobre aktorstwo prezentowali studenci, rzec by można, dojrzałe nawet przy „zawodowcach". Tyle tego było, że aż w głowie się mąci.

„Hybrydy" warszawskie wystawiły „Śmierć na raty" Janusza Krasińskiego. Makabreska — nieco przydługa, lecz dowcipna, trafna psychologicznie i sceniczna; pełna dobrych dialogów, zręcznych lecz trochę nadużywanych sytuacji — miała udanych wykonawców. Kapitalny i prawdziwy był S. Friedman w roli Kuźmy. Oleś w interpretacji Marka Wilewskiego zbyt ciążył w stronę groteski. Obaj zostali wyróżnieni.

Warszawski zespół „Centon-2" został w jednej osobie wyróżniony (Z. Gieniewski) za aktorstwo i opracowanie „Interwału", składanki z utworów Mrożka. Jestem wielbicielem talentu Mrożka, lecz nie wszystko w tej składance wydało mi się potrzebne. Trochę za wiele tego jak na jednego aktora, który pod koniec występu zdradzał wyraźne zmęczenie. Być może, że to zmęczenie było bardzo sugestywne; być może pokonywanie w pojedynkę zmęczenia jest bohaterstwem, które się zawsze liczy. Niestety, nie byłem sam. Nie mogę sobie tego zaliczyć.

A zresztą, proszę bardzo. Liczymy. **Witkacy** („Matwa", dobrze zrobione przez S.T. „Sigma" z Warszawy. Nagrodzone). **Tuwim** i **Gałczyński** (Bale). Dürrenmatt („Akcja Vega" — „Forum" Łódź. Firma dobra, sztuka gorsza). **Kafka** („Schron" — „Retorta". Łódź). **Gogol** („Pamiętnik wariata" S.T. „Stu" — wyróżnienie za adaptację i reżyserię J. Łukowski).

Z liczenia wynika, że teatry studenckie coraz żwawiej oddalają się od wzorów z lat pięćdziesiątych, coraz rzadziej sięgają po teksty własne, które różniły zdecydowanie ich występy od występów teatrów zawodowych.

W „Przegladzie łódzkim" jeden S.T. „Verbum" (W.A.M. w Łodzi) zmontował „A w naszym mieście". Nie jest to jednak odpowiednik „Bim bom mu" czy warszawskiego STS w okresie „przednówkowym". Wszystkie inne S.T. sięgają po repertuar autorów sprawdzonych scenicznie. Bo ani Witkacy, ani Kafka nie zostali odkryci przez teatry studenckie. Fakt, że teatry studenckie i repertuarem i poziomem wykonawstwa zbliżają się do teatrów zawodowych rodzi mieszane uczucia i refleksje. Już dobrze, bo jest poziom aktorski i reżyseria, jeszcze nie jest źle, bo wybór pada na utwory nieograne, pionierskie w dramaturgii i niełatwe...

Teatry studenckie rozbudzają i rozwijają talenty, wychowują kibiców i miłośników teatru, propagują trudną lecz dobrą sztukę środkami skromnymi i bez większego ryzyka. Ale nie tylko. W środowiskach akademickich powstają teatry, których pierwszymi i zaangażowanymi widzami są właśnie studenci. To sprzężenie oraz wyrównany poziom odbiorców umożliwia eksperymentowanie i ogromnie zmniejsza ryzyko niepowodzenia. Sądzę, że nie tylko młodość, ale i powyższe względy powinny decydować o aktywnym stosunku zespołów do sztuki teatralnej. I decydują jak dotychczas.

Nie ma potrzeby, a nawet nie trzeba dublować teatrów zawodowych. Każdy niech robi swoje we właściwym czasie. Takie jest ponoć jedno z praw rozwoju.

Studencki Teatr „Gest" z Wrocławia. *Fot. Sławomir Dukaszyński*

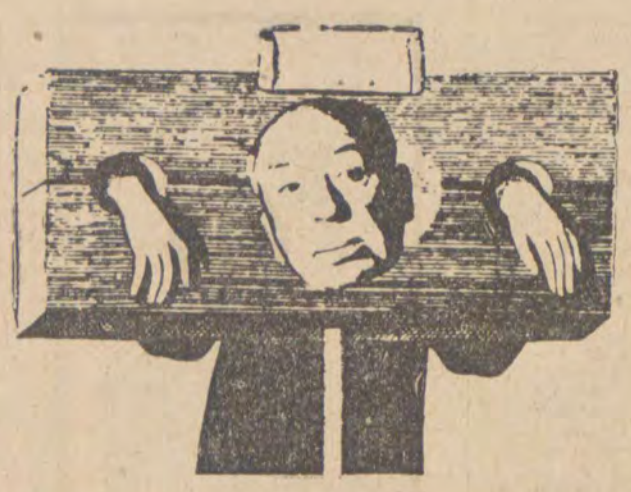

JACK RUTEHU

Pistolet

— Czy czuje się pan bardzo skrzywdzony? — zapytał reporter.

Wzruszyłem ramionami. — „Skrzywdzony"? — skądże znowu!"

— Ale przecież spędził pan cztery lata w więzieniu za zbrodnię, której pan nie popełnił.

— Zwykła pomyłka sprawiedliwości... — uśmiechnąłem się. — Zresztą państwo zapłaci mi odszkodowanie: 6 tysięcy dolarów. To kawał grosza.

Mój rozmówca widocznie obliczał sobie już to wszystko jeszcze przed wywiadem.

— To wynosi ledwie 17 centów za każdą godzinę, którą pan spędził za kratkami.

Znów wzruszyłem ramionami.

— Ale niech pan pamięta — powiedziałem — że oprócz tego w warsztatach zarobiłem jeszcze 22 centy dziennie i nie miałem przy tym żadnych wydatków przez cztery lata: byłem na utrzymaniu państwa.

— A co zamierza pan robić nadal?

To był bardzo młody reporter, musiałem mu wybaczyć i ten nietakt.

— Młody człowieku, te cztery lata wcale mnie nie zrujnowały, nie jestem okaleczony psychicznie: wprost przeciwnie, wychodzę z mamra ze wspaniałymi planami...

Dyrektor więzienia pan Dennig, wręczył mi dużą kopertę.

— George, podpisz pokwitowanie na te 6 tysięcy i pamiętaj co ci radzę: żadnych nieprzemyślanych czynów!

A w drzwiach kancelarii znów stał ten cholerny reporter.

— A co pan teraz zrobi, zaraz po wyjściu z ciupy?

Wzięła mnie złość, więc mu powiedziałem:

— Kupię pistolet.

Dyrektor Dennig przestraszył się.

— Ależ, George, pamiętaj, że człowiek zwolniony z więzienia po odbyciu kary...

Przerwałem mu.

— Dyrektorze, ja nie jestem zwolniony z więzienia po odbyciu kary; mnie to, co pan ma na myśli, nie dotyczy.

Reporter nie dał jeszcze za wygraną. Miał wypieki na policzkach.

— A pocóż panu ten pistolet, który pan chce kupić w takim pośpiechu?

— Lubię broń — powiedziałem — zawsze lubiłem broń.

— A jaka będzie następna sprawa, którą pan załatwi po wyjściu z ciupy?

— Zobaczę się z moim adwokatem.

— Z panem McIntre?

— Nie, z adwokatem Nelson. Zawsze uważałem, że jego stosunek do mojej sprawy kosztował mnie cztery utracone lata życia.

— To on prowadził pana sprawę w czasie procesu?

— Tak.

Reporter zaczynał już coś pojmować.

— To pewnie następnie zechce pan spotkać się z tymi dwoma facetami, którzy świadczyli przeciw panu.

— Świat jest mały. Często zdarzają się bardzo dziwne przypadkowe spotkania — odpowiedziałem. Zacząłem się witać z adwokatem McIntyre, który wszedł do gabinetu uśmiechnięty radośnie. Był on pełnomocnikiem Organizacji do Naprawiania Pomyłek Sądowych, która teraz, tuż przed wyborami, wylazła ze skóry, żeby udowodnić, że rządy demokratów, to same pomyłki. No, ale tak czy owak, właśnie tej organizacji zawdzięczałem rewizję mego procesu i triumf sprawiedliwości. — 6 tysięcy dolarów i zwolnienie z więzienia — musiałem więc cierpieć nadętego błazna McIntyre'a, chociaż diabelnie działał mi na nerwy.

— Niech mi pan przyśle rachunek — powiedziałem. — Oczywiście płacę za wszystkie pana zabiegi.

Poczuł się urażony.

— Co też pan mówi, przecież my to robimy w interesie społecznym. Trzeba wykazać, co nam dały rządy demokratów. — Wziął mnie za ramię i ściszył głos: — Tylko, George, żadnych kawałów.

— Żadnych kawałów? Co pan ma na myśli?

— Sprawiedliwości stało się zadość.

— Tak pan uważa?

— Oczywiście, w pewnym sensie. A w każdym razie nie może być mowy o żadnej zemście, niech pan to pamięta, George. Nasza organizacja czuje się odpowiedzialna za pana nowe życie i choćby ze względu na nas...

Schyliłem się po walizkę.

— Zapewniam pana, McIntyre, że nie zrobię niczego nieprzemyślanego. Przez te cztery długie lata miałem czas dobrze się zastanowić, co mi wypada czynić.

* * *

Po południu byłem już w tym miasteczku, w którym mnie aresztowali cztery lata temu. Wysiadłem z autobusu przed posterunkiem policji i bez pośpiechu udałem się do domu towarowego, w którym kiedyś dokonano kradzieży przypisywanej potem mojej osobie. Tam, na drugim piętrze, w dziale sportowym, kupiłem wspaniałego Rugera, świetny i morderczy pistolet, na którym można w pełni polegać. Z walizką w jednej ręce i pięknie zapakowaną soluwą w drugiej, udałem się do hotelu naprzeciw supersamu. Adwokat Nelson nie wydawał mi się człowiekiem, z którym można porozmawiać w takim stanie, w jakim byłem. Musiałem najpierw zjeść dobry obiad, a potem wynająłem elegancki pokój, kupiłem książkę kryminalną i butelkę whisky i odpoczywałem aż do ranka następnego dnia.

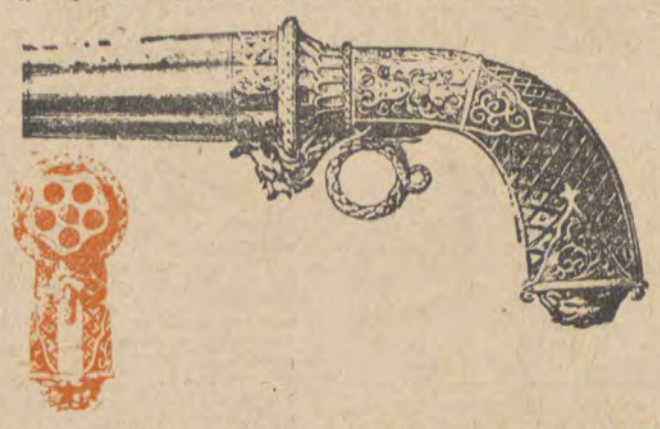

Było już późno, gdy zbudziło mnie pukanie do drzwi. Wpuściłem więc do pokoju dwóch facetów, których na kilometr poznać było, że to gliny. Starszy, szpakowaty, przedstawił się tak elegancko, jakby całe życie pracował w dyplomacji.

— Nazywam się porucznik Davis. Widzi pan, mamy tu w naszym mieście taki zwyczaj, że wolimy zapobiegać, niż martwić się. Domyśla się pan, co mam na myśli?

— Nie, niczego się nie domyślam.

— Pan kupił wczoraj pistolet. Nie zaprzeczy pan, panie Whitcomb?

— Śledziliście mnie?

— Mieliśmy wiadomości, że trzeba się panem interesować. Co pan zamierza robić z tym pistoletem?

— Może sobie kiedyś trochę postrzelam — uśmiechnąłem się krzywo. — A w każdym razie będę bardzo dbał o tego Rugera. Nie zardzewieje.

— Niech pan to dobrze przemyśli — powiedział Davis. — Przecież nie uda się panu żadna sztuczka.

— Co pan ma na myśli?

— Pan jest dosyć inteligentny, żeby zrozumieć jaki to nonsens.

— Niech się pan nie martwi o mnie, poruczniku: nigdy w życiu nie zrobiłem żadnego głupstwa, chyba przypadkowo.

Przez chwilę potrzyliśmy sobie w oczy w milczeniu. Potem Davis skrzywił się i powiedział:

— Dobrze, niech pan jednak pamięta, że będziemy pana mieć stale na oku.

W godzinę później byłem w banku i złożyłem tam na nowo otwarty rachunek całe 6 tysięcy dolarów. A stamtąd poszedłem prosto do adwokata Nelsona. I wcale się nie zdziwiłem, że w jego sekretariacie siedział już porucznik Davis, jakby czekając na mnie. Od razu zainteresował się paczką, którą miałem w ręku.

— Co to takiego?

— To pistolet, który kupiłem wczoraj.

— Czemu nosi pan to ze sobą? Trzeba było zostawić w hotelu.

— Już zwolniłem pokój, za drogi dla mnie.

— To trzeba go było zostawić w walizce.

— Nie mieści się. Jest wypakowana do pełna.

Mimo mych protestów Davis zrewidował mnie i stwierdziwszy, że nie mam innej broni, powiedział głośno:

— Nie ma niebezpieczeństwa!

Wtedy w drzwiach zjawił się ważny jak zawsze mecenas Nelson, czołowy działacz demokratyczny miasteczka. Do Davisa powiedział tonem rozkazu:

— Zabrałeś mu ten pistolet?

— Tak jest. Innego nie ma.

Zaprotestowałem jeszcze raz przeciw takiemu traktowaniu mojej osoby i wszedłem do gabinetu Nelsona. Adwokat zamknął za mną drzwi; był przygotowany widać na naszą rozmowę. Potem usiadł za swym ogromnym biurkiem, wysunąwszy nieco szufladę i mogłem dostrzec kolbę pistoletu, na której trzymał rękę.

— A teraz porozmawiamy panie Whitcomb — powiedział tonem wyjątkowo uprzejmym.

— Przyszedłem, żeby panu przypomnieć, jak to cztery lata temu poprowadził pan moją sprawę tak, żeby na niej zbić kapitał polityczny. Dzięki panu zafasowałem ten wyrok. A potem, jeszcze był pan tak bezczelny...

— Spokojnie, Whitcomb!

— ... był pan tak bezczelny, że przysłał pan do więzienia swój rachunek na 876 dolarów i 14 centów.

— Co za różnica? Tak czy tak pan tego nie zapłacił.

— Bo nie miałem pieniędzy. Ale gdybym je miał, to by pan wyrwał mi je z gardła.

Nelson był ogromnie zdenerwowany.

— Niech pan posłucha, Whitcomb. I ja, i wszyscy w miasteczku wiemy, żeś pan tu przyjechał wczoraj i kupił pistolet. Przecież to szaleństwo.

— Co pan ma na myśli?

— W miasteczku ludzie o niczym innym nie mówią, tylko o tym, że chce się pan mścić. Po czterech latach mamra wpaść na taki pomysł! Przecież to czyste szaleństwo.

— Nic innego nie ma mi pan do powiedzenia?

— Całą noc o tym myślałem — powiedział Nelson. — Nie jestem tchórzem i nie zastraszy mnie pan. Ale mam mnóstwo spraw na głowie i szkoda mi czasu i nerwów. Słuchaj, Whitcomb, zaproponuję panu coś. Żadnych skandali, żadnej strzelaniny. Ja przyznaję, że zaniedbałem wtedy pańską sprawę i mam nawet wyrzuty sumienia. Ile dostał pan odszkodowania od państwa?

— 6 tysięcy.

— Niech będzie 6 tysięcy: to kawał grosza, ale wypisuję panu czek na tę sumę. Tylko dlatego, że uważam, iż stała się panu krzywda. Ale żadnych skandali i żadnej strzelaniny, zgoda?

— Zawsze uważałem pana, panie Nelson, za bardzo inteligentnego adwokata — powiedziałem. — Więc biorę ten czek i nie zobaczy pan więcej mojej gęby.

Ledwie zamknąłem za sobą drzwi kancelarii eleganckiego pana Nelsona, już podszedł do mnie żylasty, wysoki drab.

— Czy można z panem pomówić, panie Whitcomb?

— W jakiej sprawie?

— Nazywam się Hogan, Agencja Prawniczo-Wywiadowcza. Moi mocodawcy chcieli najpierw zwrócić się do adwokata, ale że sprawa jest bardzo cienka uznali, że lepiej ją załatwi prywatny detektyw taki jak ja.

— Kim są pana mocodawcy?

— Clark i Tilford.

— Aha, te kanalie — powiedziałem. — Ich zeznania kosztowały mnie cztery stracone lata życia.

— Możliwe — powiedział Hogan. — Ale co się stało, to się nie odstanie. Wejdźmy do baru pogadać.

Siedliśmy przy oknie. Hogan zamówił whisky i powiedział:

— Po pierwsze Clark i Tilford są strzeżeni dzień i noc przez moich ludzi.

— Dlaczego? — uśmiechnąłem się.

— Niech się pan nie zgrywa. Jak pan wczoraj kupił ten pistolet, miasteczko od razu o tym się dowiedziało.

Wypiłem whisky i ponatrzyłem poważnie na Hogana.

— Widzi pan, ja w ciupie nauczyłem się cierpliwości. Tygodnie, miesiące, lata... Jakie to ma znaczenie?

— Niech pan to sobie wybije z głowy, Whitcomb. — Hogan był zdenerwowany. — Chce pan dla zemsty poświęcić całe swoje życie?

Rzuciłem na stolik srebrnego dolara, dałem znak kelnerowi i wstałem.

— To wszystko, panie Hogan, co miał mi pan do powiedzenia.

— Jeszcze chwilę, panie Whitcomb — powiedział nerwowy tajniak. — Kelner jeszcze dwie whisky! — i ciszej — moi klienci chcą coś panu zaproponować.

— Co mianowicie?

— Oni też uważają, że stała się panu straszna krzywda. Ile dostał pan odszkodowania?

— 6 tysięcy.

— Zgadza się — tu Hogan wyjął z kieszeni jakąś grubą kopertę i położył ją na stoliku. — 6 tysięcy odszkodowania: stała się pomyłka, tak bywa, ale moi klienci to ludzie przyzwoici.

— Istotnie — powiedziałem, chowając kopertę do kieszeni. — Ale dlaczego...

— Bo chcą mieć święty spokój... — powiedział Hogan. — To znaczy chcą mieć spokój sumienia.

— Dobrze, niech im pan powie, że ich nie zastrzelę ani dzisiaj, ani nigdy. — Przytrzymałem glinę za łokieć, bo już chciał odchodzić. — Ale jedną rzecz musi mi pan jeszcze powiedzieć. Dlaczego oni wtedy zrobili to w czasie śledztwa?

Hogan odprężył się, widać, ta rozmowa kosztowała go też dużo nerwów.

— To mogę panu powiedzieć. Clark musiał się wykazać, bo kandydował i zależało mu na popularności.

— A Tilford?

Hogan się zaśmiał.

— Tilford ma tu mleczarnię. Tej nocy jechał swoją ciężarówką. Zatrzymała go policja i zapytała, czy nie widział kogoś w ciemnej ulicy? Przeraził się i chciał się ich jak najprędzej pozbyć. Wtedy pana zidentyfikował. On by wtedy zeznał każdą rzecz, jaką by mu podyktowali.

— A czemu tak się przeraził?

Hogan ściszył głos.

— Wiózł pełną ciężarówkę margaryny. Rozumie pan? Nocą, ukradkiem. Wyobraża sobie pan, panie Whitcomb, co by się stało, gdyby w miasteczku ktoś się dowiedział, że miejscowy mleczarz przewozi nocą pełną ciężarówkę margaryny?

W godzinę później byłem na posterunku policji, u mego przyjaciela porucznika Davisa. Tak jak to sobie obmyśliłem jeszcze w więzieniu. Położyłem na jego biurku nie rozpakowaną paczkę z pistoletem.

— Niech pan przyjmie tego Rugera na pamiątkę — powiedziałem. — Ludzie w tym miasteczku są przyzwoici. Czasem popełniają jakieś drobne omyłki, ale komu się to nie zdarza?

— Cieszę się, że doszedł pan do takiego wniosku — powiedział Davis. — I co dalej?

— Jutro rano wyjeżdżam.

Uścisnęliśmy sobie dłonie jak starzy przyjaciele. Z posterunku poszedłem na obiad, a potem na długi spacer. Teraz już nikt mnie nie śledził, więc mogłem o zmroku wyjąć ze skrytki te kilkanaście tysięcy, które cztery lata temu zrabowałem w supersamie. Przeleżały grzecznie czekając na mnie, nie zaszkodził im ani deszcz ani śnieg. Miałem teraz pełną walizkę forsy i ten wieczór spędziłem na obliczaniu, ile to wypadnie w przeliczeniu na każdą godzinę spędzoną w ciupie. Rachunek był pomyślny, bo siedziałem tylko cztery lata, ale taki jest u nas okres kadencji wyborczej i warto znać się na polityce.

KRONIKA

Antytelewizyjna

KALENDARZE

Ale nie „Żółte kalendarze" poety Jerzego Millera, który po wyemigrowaniu z naszego miasta, gdzie cierpiał czasem i biedę, zdobył poważną pozycję tekściarza na rynku współczesnej piosenki. Oczywiście, usilnie nad sobą pracując, co niech będzie ostrzeżeniem dla tych, którym się wydaje, że pisanie dobrych tekstów jest czymś szczególnie łatwym.

Pod koniec roku zaopatrujemy się w kalendarze książkowe, biurkowe, ścienne, kieszonkowe. Od lat wychodzą one na czas, choć był okres, gdy ukazywały się z paromiesięcznym opóźnieniem.

Współczesne nam kalendarze książkowe przedstawiają się nieraz gorzej, niż przed wieloma laty. Przynajmniej graficznie i jako pewien zasób potrzebnych przeciętnemu obywatelowi informacji. Daleko im do takich kalendarzy jak przedwojenne „Kalendarze Ilustrowanego Kuryera Codziennego". Nasze niechybnie zawierają bardziej postępowe treści, ale w uboższej szacie. A kalendarzom „Ilustrowanego Kuryera" daleko do polskich kalendarzy dziewiętnastowiecznych. Pod względem opracowania typograficznego. Może zresztą dla tamtych ma się szczególny sentyment, gdyż należą do białych kruków. (Gdyby ktoś miał na zbyciu jakiś kalendarz dziewiętnastowieczny...). Przede wszystkim jednak większe do kalendarzy książkowych przywiązywano znaczenie!

Inną odgrywa obecnie kalendarz rolę niż tę, jaką odgrywał w przeszłości, kiedy to — obok senniką — był w wielu domach jedyną, niestety, książką. Kalendarze stanowią bardziej niż jakiekolwiek inne wydawnictwa krótkie, wymowne kroniki, w których znajduje się informacje, dotyczące nie tylko rachuby czasu i zjawisk astronomicznych, ale także wydarzeń politycznych, obyczajów i zainteresowań ludzkich, życia kulturalnego, osiągnięć i strat.

Dlatego przyjrzyjmy się pobieżnie kalendarzom z dalekiej stosunkowo przeszłości, zawadzając przy okazji również o ich dzieje.

W „Kalendarzu Powszechnym na rok zwyczajny 1847" znajdujemy artykulik poświęcony właśnie rodowodowi tego typu wydawnictw.

„Odkąd ludzie społeczeństwo składają, czas okazał się być najdroższą rzeczą, a uporządkowanie jego od dawna ludzi myślących zajmowało... Ponieważ kalendarze, jako najużywańsze, na równi z elementarzami i książkami do nabożeństwa wychodziły, po wynalezieniu więc druku wcześnie prassy drukarskie zajęły, tak iż sam Gutenberg już w roku 1457 pierwszy kalendarz wydał, a następnie gdzie tylko sztuka ta zaprowadzona została i one wraz tym sposobem najaw wychodziły... Czesi już w roku 1489 zaczęli je u siebie drukować... Nie wiadomo z pewnością kiedy zaczęto kalendarze po polsku drukować, zdaje się, iż musiał je zacząć Wietor, pierwszy drukarz krakowski, który z polską książką w 1521 roku wystąpił, albowiem ani Haller, ani Ungler nie śmieli przedtem tego języka używać, a dopiero później widząc, iż Wietorowi powiodło się i oni zaczęli polskie dzieła drukować".

Z amatorstwa grzebiąc się w różnych księgozbiorach, miałem możność przyjrzenia się licznym kalendarzom z wielu lat. Lubię je! Może się mylę, ale wydaje mi się, że pod względem zarówno kunsztownego opracowania graficznego, jak i doboru treści najlepsze bodajże w XIX stuleciu były „Jana Jaworskiego Kalendarze Ilustrowane". Sam Jaworski był z zawodu drukarzem. Początki, jak każde w zasadzie początki, były skromne, ale w dalszych latach kalendarze te coraz bardziej pęczniały, przynosząc piękne rysunki drzeworytnicze, przyciągając do współpracy takie ówczesne pióra, jak Deotymy, Kraszewskiego, Faleńskiego, Lenartowicza, Szujskiego, Libelta, Jeża, Syrokomli, Bartoszewicza, Pola, Zacharyasiewicza...

W każdym roczniku znajdujemy doskonale zredagowany przegląd wydarzeń krajowych i zagranicznych, urozmaicone działy poetyckie i powieściowe, nie mówiąc już o dziesiątkach stronic wszelakiego rodzaju informacji, m. in. o tak dla szlachty i mieszczan nieodzownych jarmarkach.

Wypada sięgnąć po kilka, wybranych na chybił trafił, ciekawostek z różnych dawnych kalendarzy.

Najpierw coś dla kobiet. Oto wyimki z przepisów kosmetycznych...

„Środek na piegi i ogorzelizną: Dwie uncye wody poziomkowej, tyleż wody biedrzeńcowej, tyleż wody różanej razem się mieszają i tem się piegi często zmywają...".

„Chropawe szorstkie ręce zmiękną, obwinąwszy je na noc szmatką nasmarowaną żółtkiem...".

A oto tytuły kilku książek chodliwych, w owych czasach, nieodzownych: „Kucharz dobrze usposobiony, przez Jana Szytlera, z dodaniem wielu nowych artykułów i przyłączeniem kuchni podróżnej dla wygody podróżujących...", „Preferans, jego historya, filozofia i terminologia, przez Preferansowicza, członka wielu towarzystw zielonych stolików"., „Rozrywka na długie wieczory, czyli zbiór rozmaitych kabałek zwykle pasians zwanych...".

Piszę o kalendarzach z dwóch względów. Zbliża się, świętami miłe znaczony koniec roku, więc felieton ma być wyraźnie okolicznościowy. Wolno mieć pewność, iż dużym wzięciem cieszyłby się KALENDARZ TV DLA TELEWIDZÓW!. Informujący o kulisach pracy w TV (wtedy może niektóre pretensje nasze stałyby się bezprzedmiotowymi), zawierający kartki z jej dziejów, prezentujący ciekawsze fragmenty dorobku, może nawet nieco tekstów z programów, zawierający wiele dobrych zdjęć... ach, na co się zda wyliczanie! Możliwości są tak wielkie i różnorodne. Byleby nie był książką nazbyt oficjalną w rodzaju „Kultury Polski Ludowej"!

Na ostatek znowu wróćmy do dawnych kalendarzy. Chciałbym przytoczyć trochę przysłów, jako że w przysłowiach nieraz szczyptę mądrości czy też doświadczenia znaleźć można. Zanim je przytoczę, chciałbym zauważyć, iż bardzo lubię tych naszych mówców czy dyskutantów, którzy umiejętnie posługują się właśnie przysłowiem lub anegdotą. (Gdzie oni?).

...Lepiej do piekarza, niż do aptekarza. Najściślejsze towarzystwo: człowiek a błąd. Rośnie Jaś jak cielątko, będzie wołek z niego. Najprędzej błądzi, kto prędko sądzi. Pochlebstwo jest zniewagą, bo komu pochlebiamy, tego zwieść chcemy. Pamiętaj przychodzie, żyj z rozchodem w zgodzie. I głupi miałby swój rozum, gdyby się przekonał, że głupi. Nic nudniejszego w społeczeństwie, jak poeta co zawsze chce czytać swe dzieło; rycerz, co zawsze opowiada swoje waleczności; starzec, co zrzędzi i dawne tylko czasy chwali; młodzieniec, co się sadzi, aby wszystkim kobietom głowy zawracać; gaduła, co nikomu nie daje gadać...

I wreszcie: „Każda Rózia znajdzie Józia!".

Tym pełnym optymizmu powiedzonkiem niech mi wolno będzie zakończyć!

Jan Huszczij

Wespazjan Kochowski

O WOLNOŚCI POLSKIEJ

Wieleć my mamy swobód, w tej naszej koronie,
Coż gdy się nie staramy, nie dbamy o nie.
Przeważają prywatnych pożytków chciwości,
Bardziej dbamy o włości niż o wolności;
Słobody niż swobody głowę, nam mozolą,
Niż złotą wolność, bardziej samo złoto wolą.

TERESA WOJCIECHOWSKĄ

Poświąteczna rzeczywistość

...Za to, że w sposób chuligański, bez żadnych powodów, będąc w stanie nietrzeźwym naruszył nietykalność osobistą Jana Kowalskiego uderzając go...

W poświątecznych numerach prasa prawdopodobnie doniesie: „Święta minęły w tym roku dość spokojnie. Łodzianie nie nadużywali alkoholu, nie przejadali się. Pogotowie nie narzekało na nawał pracy w związku z atakami kolki wątrobianej, straż pożarna ugasiła tylko kilka choinek, milicja interweniowała w tylu to a tylu wypadkach naruszenia spokoju publicznego".

Być może zresztą, że komunikat będzie inny, trudno przewidzieć, jak będą się bawili łodzianie.

* * *

Oskarżeni: ojciec, lat 46 i syn lat 18. 23 grudnia, przy kiosku z piwem

ALOJZY ŻÓŁKOWSKI

Łyknął,
Krzyknął,
Przewrócił oczyma,
i już go nie ma.

pobili nieznane im małżeństwo B. **Opinie o synu: cichy, grzeczny, obecnie sprawuje się dobrze, ale ma przeszłość. Przebywał w zakładzie wychowawczym. Opinie o ojcu: cichy, spokojny, dobrze pracuje, grzeczny, skłonności do alkoholu w normie.**

Ojciec: Wysoki Sądzie, to wszystko przez jego imieniny. Dostał na imię Adam, a to jest 24 grudnia, w samą wigilię, więc zawsze ma chłopak podwójne imieniny. Mojej starej zachciało się tego Adama, do dziś nie wiem dlaczego, ale ona zawsze miała fanaberie. Więc chciałem mu urządzić imieniny o dzień wcześniej. Kupiłem pół litra spirytusu i pół litra czystej wyborowej, bo ja innej nie piję, proszę Wysokiego Sądu. Poszliśmy do kuzyna i tam we czterech wypiliśmy tę wódkę. No, może było trochę więcej, bo kuzyn też ma swój honor. Chłopakowi zachciało się potem pić i wyskoczył do budki na piwo. Jak zobaczyłem, że coś się tam kotłuje, to poleciałem ratować dziecko. Nikogo nie biłem, tylko chciałem ich rozdzielić.

Syn: Byłem z ojcem u rodziny, wypiliśmy tyle co ojciec mówił. Potem skoczyłem na piwo. Po drodze potknąłem się i zawadziłem o jakiegoś gościa. A potem zaczęliśmy się szarpać. Dalej to już nic nie pamiętam. Nie pamiętam, żebym uderzył jakąś kobietę czapką w twarz, bo w ogóle nie widziałem żadnej kobiety. Ja dostałem proszę Wysokiego Sądu obłąkania. Nie wiem z czego to obłąkanie, bo wcale dużo nie wypiłem i nie byłem pijany. Miałem iść na nocną zmianę do pracy".

Na nocną zmianę poszli obydwaj. Do aresztu. Pozostali tam przez dwa miesiące. Przez ten czas ojciec mógł przeanalizować sensowność urządzania 18-letniemu synowi nie zanadto postnych imienin, a syn przemyśleć sposoby, jakimi dochodzi się do obłąkania i drogi, którymi się zeń powraca.

* * *

Oskarżony: lat 24, żonaty, dwoje dzieci, szlifierz z zawodu. **Opinie: nie karany, w izbie wytrzeźwień nie przebywał, dobry pracownik, lubi wesoły tryb życia.**

1 stycznia wieczorem zaczepił na ulicy dwie młode dziewczyny, wracające z noworocznego przyjęcia ze swymi partnerami. Mimo, iż zapewniał je, że jest bardzo ważną figurą, dziewczyny uciekły, nie chciały z nim rozmawiać. Wobec tego złapał za rękaw jednego z mężczyzn i zaczął go przekonywać o swojej wysokiej pozycji socjalnej. Ale mężczyzna też nie był ciekaw, może dlatego, że argumenty były niestosowne, „łacina" i rękoczyny. Dopiero patrol MO wykazał więcej zrozumienia i zainteresował się bliżej danymi personalnymi ważnej figury. Ważna figura w trybie przyśpieszonym dostała cztery miesiące aresztu. Ale już do rozprawy sądowej przeanalizowała się. Na rozprawie płakała rzewnymi łzami i przepraszała wszystkich poszkodowanych.

Wysoki Sądzie, to wszystko miało być inaczej. Na Sylwestra tośmy siedzieli w domu, bo żona jest w poważnym stanie, a w Nowy Rok chcieliśmy iść do kina. I ja właśnie wyszedłem po obiedzie, żeby kupić bilety. Trochę mnie suszyło od wczoraj i akurat spotkałem kolegę. Jego też suszyło. Weszliśmy do restauracji, bo była po drodze, tylko na klina, bo nie mieliśmy dużo pieniędzy. Ale w restauracji byli jeszcze inni koledzy, słucham? Tak, pewno też ich suszyło. No i wypiłem. To była jakaś taka dziwna wódka, mnie się po niej wydawało, że jestem bardzo ważny i że wszyscy powinni mnie słuchać.

* * *

Oskarżony: lat 18, nie pracujący, na utrzymaniu rodziców. **Opinie: spokojny, grzeczny, bez skłonności do nadużywania alkoholu, w kronikach milicyjnych nie notowany.**

Wróciłem wtedy z treningu piłkarskiego. Rodzice oglądali telewizję, ale tam była mowa-trawa więc poszedłem do kuchni. I zaraz przyszedł kolega. Wypiliśmy pół litra likieru czekoladowego co jeszcze został ze świąt i dwie butelki wina patykiem pisanego. Ale było nudno, więc umówiliśmy się, że pojedziemy do jednej koleżanki, żeby zmówić się na Sylwestra. Na ulicy spotkaliśmy jeszcze jednego kolegę, który powiedział, że pojedzie z nami, więc wypiliśmy jeszcze jedną butelkę patykiem pisanego. Jak weszliśmy do tramwaju to pamiętam, że wyjąłem złotówkę i kupiłem bilety dla siebie i dla kolegi, a potem zaraz straciłem przytomność i nic dalej nie pamiętam. Przytomność odzyskałem w Komendzie, bo wiem, że zanieczyściłem tam podłogę, ale sam posprzątałem. To widocznie od tego czekoladowego likieru, może był nieświeży.

Za to właśnie czego nie pamiętał — trzy miesiące aresztu. W tramwaju wdepnął na nogę chłopcu i potrącił go. Chłopiec odruchowo krzyknął... To się konsumentowi czekoladowego likieru i patykiem pisanego bardzo nie podobało. Tak bardzo, że chłopiec długo nosił na twarzy ślady tego niezadowolenia.

Byłem pijany, nie pamiętam... Ci wszyscy, którzy stają przed sądem za wybryki chuligańskie zapominają, że alkohol dawno już przestał być okolicznością łagodzącą, że stał się okolicznością obciążającą.

* * *

Jednym wódka rozwiązuje język, innym zamyka usta, działają w milczeniu.

Oskarżony: lat 20. **Opinie: Gdy jest trzeźwy nie budzi zastrzeżeń, ale ma skłonności do alkoholu, opinię posiada dostateczną.**

Wysoki Sądzie, chciałem się trochę przewietrzyć, bo cały dzień siedzieliśmy przy stole, bo byli goście. Ja wypiłem ze dwie butelki wina i wprawiłem się w stan nietrzeźwy. A jak ja się wprawię to mi w domu schodzą z drogi, bo ja nic nie mówię tylko patrzę, wtedy mi się zdaje, że na mnie źle patrzą. Ten w parku też na mnie patrzył tak jakoś dziwnie, więc mu dałem w bok. A on zaraz zaczął wołać milicję. A ja nic powiedziałem ani słowa.

5 tysięcy zł grzywny z zamianą na pięć miesięcy aresztu.

* * *

Awantura uliczna, obraza moralności publicznej, znieważenie milicjanta.

Oskarżony: lat 36, żonaty, troje

FRANCISZEK DZIERŻYKRAJ-MORAWSKI

Cicha była śmierć Urbana,
Właśnie gdy miał sos zaprawić,
Ziewnął nad resztą barana
I przestał trawić.

dzieci. **Opinie: pracownik dostateczny, pije dużo, lecz niechętnie.**

Po pierwsze, Wysoki Sądzie, była wypłata, a po drugie nie było obiadu w domu, bo żona prała i sprzątała na święta, to czy ja mam przez cały tydzień nie jeść obiadu? Więc poszliśmy z kolegami na obiad do restauracji. Ja nie lubię wódki, koledzy mogą poświadczyć, więc wypiłem tylko pięć kieliszeczków. Dziecko by się tym nie upiło proszę Wysokiego Sądu. A wypiłem z rozpaczy, bo mi zginęła kurtka, sam nie wiem gdzie. Jak ja mam zmartwienie, to muszę wypić, bo mi się wtedy nawet ustrój nie podoba. I jak tycznie poprawił mi się humor, więc może sobie i pośpiewałem, pewnie, że nie wlazł kotek na płotek, tylko coś lepszego. A potem to mnie ktoś potrącił i już nic nie pamiętam, bo jak ja się zdenerwuję, to tracę pamięć.

Trzy miesiące aresztu na wylecze nie pamięci...

* * *

Oskarżony: lat 42, kawaler, nie pracuje, na utrzymaniu siostry.

Ja byłem pijany? Wysoki Sądzie, ja jestem chory na gruźlicę, cukrzycę, reumatyzm i sklerozę, to skąd do mnie wódka? Nawet pieniędzy na to nie mam, bo siostra mnie utrzymuje. Tylko, że na mnie się władza uwzięła i żebym był niewinny jak kryształ, to zawsze coś znajdą. To było na Sylwestra, umówiłem się z jednym kumplem, że przyjdzie do nas, on chce się żenić z moją siostrą. Nie mogłem mu postawić herbaty, bo wysusza, a mleko to ja ostatni raz z piersi matki piłem. Więc poszedłem, żeby kupić coś stosownego. Po drodze władza mnie zaczepił. I aresztował mnie za niewinność. Na mnie to już się uwzięli.

Rzeczywiście coś w tym musi być. Pięć miesięcy aresztu nie było dla oskarżonego nowością. To jest ósmy wyrok i wcale nie największy. Dwa i pół roku w więzieniu już spędził. Nie mówiąc o pięciu wizytach w Izbie Wytrzeźwień...

* * *

Wysoki Sądzie, w noc wigilijną podobno nawet bydlęta w stajni mówią. Więc pomyślałem sobie, że może będzie się można z nim dogadać, bo przez cały rok to nawet nie ma mowy. Po kolacji, jak już wszyscy śpiewali kolędy przed telewizorem, narzuciłem palto i poszedłem do niego, bo to niedaleko, tylko przez ulicę. Wziąłem nawet butelkę czerwonego, żeby nie powiedział, że przyszedłem go opijać. Dzwonię, on mi drzwi otwiera i woła: patrz Jasia, święty Mikołaj do nas przyszedł! A ja mam na imię Stanisław. Więc mnie nagła krew zalała, bo łobuz udawał, że mnie nie poznaje. Ale mówię jeszcze grzecznie: chcesz prezencik od Mikołaja ty amnezjowany? Bo ja znam różne obce słowa proszę Sądu, córka medycynę kończy. A on zrozumiał, że ja mu amnestię wymawiam. I tak się zaczęło. Kto pierwszy zaczął to ja już dokładnie nie pamiętam. A zresztą czy to ważne? Może i ja, ale on ma silniejsze uderzenie i żona mu pomagała. Może i użyłem tego czerwonego wina, sam przecież byłem, a ich dwoje. Ostatecznie mogę się z nimi pogodzić, przecież po to wtedy poszedłem.

Pogodzili się.

ALOJZY ŻÓŁKOWSKI

Przez całe życie chodziłem,
Całe życie jadłem, piłem,
Dość trudów, już się nie ruszę
Bo odpocząć muszę.

* * *

Jeśli masz wojowniczy charakter, jeśli po wypiciu wódki wydaje ci się, że cały świat należy do ciebie, jeśli uważasz, że mógłbyś być mistrzem boksu wszech wag — połóż się natychmiast spać. Sen będziesz mieć mocny i pokrzepiający. W tej sytuacji rzeczywistość może ci przynieść tylko rozczarowania.

Lewym okiem

W SPRAWIE PISANIA I CZYTANIA

Jeden z moich szanownych kolegów po piórze wyraził się pewnego razu, że kiedy się chce zmobilizować i upozytywnić — czyta w „Odgłosach" felieton polityczny Sławskiego, zaś w wypadkach przeciwnych, gdy ma ochotę lekko się zdemobilizować i ciut-ciut zgorzknieć — zagląda do felietonu Ćwieka. Całe szczęście, że oba te felietony jak dotąd ukazują się zawsze jednocześnie, co — miejmy nadzieję — pozwala zachować równowagę nawet czytelnikom, konsumującym nasz tygodnik cierpliwie od deski do deski, a przy tym łatwo ulegającym nastrojom.

Mamy jednak przed sobą nasze piękne Święta, pełne prawdziwych, ślicznych, ciągle żywych tradycji, nastrajające pogodnie, trochę rzewnie, nigdy kostycznie. Odłóżmy więc pióro maczane w żółci. Nie będzie tym razem o żadnych „bolączkach", dokuczliwych głupstwach i innych społeczno-gospodarczo-obyczajowych niedoróbkach. Będzie bardzo zwyczajna gawęda, parę ciekawostek, pozbieranych z lektur rozmaitych, gwoli rozerwania szanownych państwa pomiędzy sutym świątecznym śniadaniem a nie mniej sutym obiadem. Posłuchajcie.

HISTORYJKA 1: Przed z górą rokiem wszystkie polskie pisma kulturalne — także „Odgłosy" — zamieściły krótsze lub dłuższe notatki i informacje o słynnym pisarzu angielskim, który właśnie wtedy zmarł w wieku nader sędziwym. Nazywał się Somerset Maugham, życie spędził na nieustannych podróżach, był autorem wielkiej ilości krótkich opowiadań, a także wielu powieści. Żadne z poświęconych mu wspomnień, o ile zdołałem zauważyć, nie nawiązało do wywiadu, który tenże pisarz udzielił w roku 1934 pewnemu holenderskiemu pismu. Oto, co Maugham powiedział wówczas o sobie:

„Kiedy przyszła wojna, zawód mój kazał mi się zgłosić do Secret Service'u. Rozwinąłem działalność niemal na wszystkich frontach i na wszystkich liniach okopów. Dzięki znajomości języków czułem się wszędzie jak w domu. Przed wojną mieszkałem dłuższy czas w Rosji jako student i jako... szpieg. Mój ostry zmysł obserwacyjny z fatalną koniecznością pociągał mnie do szpiegostwa. Prawdę mówiąc, przez całe życie byłem szpiegiem".

Cytat powyższy jest autentyczny; mówi o angielskim pisarzu więcej, niż połowa poświęconych mu przez naszą prasę notatek. Chociaż kto wie; czy Maugham nie zakpił sobie z dziennikarzy holenderskich, bo i to nie wykluczone...

HISTORYJKA 2: Znany szeroko i ceniony autor „Niebieskich kartek" i „Niekochanej", Adolf Rudnicki, publikując w „Wiadomościach Literackich" w roku 1938 reportaż z warszawskich kanałów, tak zapewniał swych czytelników:

„Wierzcie mi, gdybym miał syna, uczyniłbym zeń kanalarza. Albowiem właśnie tutaj najłatwiej zachować duszę. Zachować duszę? Jeżeli to brzmi nie dość przekonywająco, powiem, że w ten sposób zwróciłbym synowi mojemu — gdybym go miał — smak życia. Pomyślcie tylko: jaką wartością stałoby się dlań powietrze i światło? Czy sądzicie, że one mają sens gdy się za nie nie płaci?... Właśnie kanalarza uczyniłbym ze swego syna".

Ten cytat jest też autentyczny. Nie wiem, czy Adolf Rudnicki ma syna. Jestem natomiast najzupełniej pewien, że jego syn nie byłby — względnie nie jest — pracownikiem kanałów warszawskich. Mimo, że mamy tu do czynienia z reportażem, który nazwano kiedyś literaturą faktu, a nie z czystą fikcją literacką wysnutą ze swobodnej gry poetyckiej wyobraźni, przecież spomiędzy faktów wygląda wielkie perskie oko autora, kokietującego publiczność.

HISTORYJKA 3: W roku 1898 postawiono w Warszawie ufundowany przez społeczeństwo pomnik Adama Mickiewicza. W cokół pomnika wmurowano dokument, zaczynający się słowami:

„Na wieczystą rzeczy pamięć. Z łaski Bożej pod szczęśliwem panowaniem Najjaśniejszego Mikołaja Wtórego, Cesarza Wszech Rosji, Króla Polskiego, za rządów Jenerał Gubernatora Jego Mości Księcia Imeretyńskiego i za prezydentury miejskiej w Warszawie Jenerała Bibikowa niżej podpisani w liczbie XIV mężowie pozdrawiają w Panu wszystkich, którzy te słowa czytać będą".

Autorem tego dokumentu, dziękującym Bogu za szczęście pozostawania pod panowaniem cara Mikołaja Wtórego, był... Henryk Sienkiewicz. Byłoby oczywiście wielkim nietaktem w stosunku do luminarza naszej kultury, dostrzegać w cytacie powyższym chęć kokietowania tronu. To był raczej trybut, na pewno niełatwy do przełknięcia trybut na rzecz — jak byśmy dziś powiedzieli — obiektywnej rzeczywistości. Wszyscy czekali na pomnik. Może by go nie było, gdyby nie ów błagonadiożnyj dokument?

Takich historyjek mógłbym przytoczyć niemało, a wszystko w tym celu, żeby pokazać, że nie tylko pisanie jest sztuką trudną. Czasem jeszcze trudniejszą rzeczą jest właściwe odczytanie myśli spoza słów, sensu spoza fabuły, idei spoza formy. Jest to sztuka nie tylko trudna do osiągnięcia, ale wręcz nieosiągalna dla tych, którym zależy na wszystkim prócz uczciwej prawdy. Na dowód czego jeszcze jeden autentyczny cytat — z hamburskiego tygodnika „Die Welt", który zamieścił w dniu 16 listopada br. felieton poświęcony H. Sienkiewiczowi (powtarzam za „Kulturą"):

„Polski pisarz w swych zupełnie bezpretensjonalnych powieściach... wpajał swym rodakom nie tylko dumę i świadomość narodową, lecz także kształtował ich pogląd na historię. Krzyżak jako synonim okrucieństwa, przebiegłości i brutalności jest trwałym elementem polskiego obrazu historii... Cóż począć, że polski patriotyczny pisarz, z usprawiedliwionej obawy, z powodu cenzury, nadał znienawidzonym Rosjanom i ich carskiemu reżymowi historyczną postać Krzyżaków. Cóż począć, że kiedy myślał o Kozakach, pisał o Krzyżakach"!

Niemiecki autor tego felietonu chyba nie jest głupi i nie myśli tak, jak napisał. Ale napisał tak, bo jest „politykiem". Takim spod gwiazdy wiecie jakiej...

Przepraszam. Miał być przecież pogodny felieton. To może lepiej skończmy?

Wesołych Świąt...

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 344-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3545 XII. 66. E-11

CZY ZNASZ LITERATURĘ ŁODZI?

Konkurs nasz składa się z trzech elementów: rysunku, ilustrującego jakiś fragment książki, nazwiska autora i tytułu jego utworu oraz wybranego cytatu. Rzecz polega na tym, aby zestawić właściwie ilustracje, nazwiska, tytuły i cytaty razem i wpisać je do odpowiednich rubryk w załączonym kuponie. Za trafne rozwiązania przyznane będą następujące nagrody: I nagroda — aparat radiowy, II — patefon elektryczny „Bambino", III — radioodbiornik tranzystorowy, IV i V nagroda — elektryczne maszynki do golenia oraz szereg wyróżnień książkowych. Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 10. I. 1967 r. (decyduje data stempla pocztowego).

I

Trudno porównywać ulicę Kilińskiego czy Wojska Polskiego, do Narutowicza, są to ulice pozbawione pięknych dziewcząt. Nie zwierzam się nikomu z tej interesującej i w gruncie rzeczy zupełnie nieszkodliwej zabawy. Przyjaciele z pewnością powiedzieliby — stary, a... i tak dalej. Więc te czynności wzrokowe, czysto teoretyczne, są moją i tylko moją sprawą, a ich skutki bardzo miłe, choć także tylko teoretyczne.

II

Burzaty otworzył oczy. Było już szaro. Trzeba iść, pomyślał. Trzeba iść do urzędu zatrudnienia. Ledwo zwlókł się z łóżka. Mięśnie bolały go; czuł dokładnie każde włókno, jakby wypreparowane, każde bolące oddzielnie. Te wszystkie małe bóle razem utrudniały mu każdy ruch, uderzały w mózg i kręciły ziemię w jakimś innym poziomie i pionie, w innym kierunku.

III

Uradziliśmy wieczorem: moja, twoja lub niczyja. Znaczy się: pokonam Felka — Teresa moja, Felek nabije mi śnupę — Teresa jego. Remis: nie damy Teresy nikomu, choćby miała zostać starą panną.

IV

...Po co Piotr jeździł na wykopaliska? Czy rzeczywiście tylko w tym celu, aby jeszcze raz zobaczyć, co dzieje się z człowiekiem po śmierci, jak powoli zmienia się w proch i poczyna jednoczyć się z ziemią, po której kiedyś stąpał? To wszystko powinien był Piotr wiedzieć od dawna, każdy cmentarz dawał w tej sprawie zdecydowaną odpowiedź. Ale nie każdy cmentarz wolno było rozgrzebywać.

V

Choć nie lubiliśmy naszego miasta, pierwsze chwile powrotu należały do przyjemnych. Byliśmy już w wieku, w którym ceni się unormowane życie. Wszystkie powroty noszą w sobie zresztą wiarę, nieuzasadnioną, w miłe niespodzianki.

VI

Szedłem ulicą na milczący kościół w stronę parku Sienkiewicza, szedłem trzymany przez kogoś za rękę. Ze sopli bezustannie ściekała woda. Jak długo może spływać woda ze sopla i ile może jej spłynąć — wiadro, cysterna mroźnej wody? Pośrodku pustego parku szczekał i wył kudłaty pies. Był gospodarzem parkowych nocy i teraz pragnął wypłoszyć krzykliwych przybyszów ze swojej zagrody.

VII

Fakt ten uratował Ottonowi Gaertnerowi życie. Ale nie na długo! Jakieś fatum zawisło, widać, nad rodziną Gaertnerów, nad tym pałacem. We wrześniu 1905 roku trafiła jadącego powozem, a właściwie zwykłą bryką saską, Ottona Gaertnera w skroń zabłąkana kula rewolucjonisty czy soldata, tego już nigdy nie będziemy wiedzieli. Były to niespokojne czasy. Na Dworcu Fabrycznym i na Dworcu Kaliskim wyładowywały się roty dragonów i sotnie Kozaków z Piotrkowa i z Kalisza.

VIII

Człowiek ma różne okresy w życiu i różne słabości. Zmarznięty, zgrabiałymi palcami wyciągałem w swoim czasie z koszy makulatury pisma Conrada-Korzeniowskiego, z rozbitej zdewastowanej biblioteki Łódzkiej Elektrowni. Walczyłem ze stosem papieru, skutecznie wyłuskując Ocalenie Conrada. Może ta, z tamtych lat książka, zniszczona, zaczytana, wyjęta nie z półki, nie z regałów, nie z biblioteki, ale spośród innego, obcego otoczenia, da mi prawdziwą radość, demonstrując rozwartymi kartkami swoją klęskę i swoje zwycięstwo.

IX

Na jednym zebraniu Klepa, to jest majster, mówi:

— Ja, koledzy, muszę zaapelować i nie mogę inaczej tego określić. Po prostu wygląda tak, że przystąpiliśmy gremialnie do brakoróbstwa. A mamy właściwie jak? Mamy, koledzy, zaabsorbowani wycinkami, wieść na łańcuchu do najwyższego asortymentu i skoordynowawszy szybkość scementować wszystkie elementy...

X

Poszedłem na to spotkanie z wiceministrem oświaty w Teatrze na Cegielnianej. Zasadniczo studenckie, ale zaproszenia dostał cały wydział. Celiny, która namawia, żebym chodził na takie imprezy, nie było. Starego też nie. Siadłem z polonistami. Wiceminister, podobno zaciekły peperowiec, okazuje się, że jest zupełnie na poziomie... Mówił do rzeczy, choć może ze zbyt wielką swadą i było to dość przekonywające.

XI

„Im dalej zagłębiam się w ten album, tym więcej widzę nowych twarzy, coraz rzadziej pojawiają się stare, niektóre znikają na zawsze. Odszedł Ludwik, który chorował na płuca. Odchodził z tego świata tak, jak żył. Byłem przy jego śmierci, przyjechałem wtedy z miasteczka, ojciec mnie wezwał. Ludwik gasł już od dawna, na próżno Melania wzywała Abrama. Cóż miał poradzić Abram na chorobę, którą nazywano straszną?".

KUPON

Rysunek	Okładka	Cytat
1		
2		
3		
4		
5		
6		
7		
8		
9		
10		
11		

imię .....

nazwisko .....

adres .....

Prac. Reg.
10840-A
WIMBP im. J.P. w Łodzi